Nr. 15. Lwów, Niedziela dnia 11. Kwietnia 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie **12** złr. półrocznie **6** złr. kwartalnie **3** złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **14** złr. półrocznie **7** złr. kwartalnie **3** złr. **50** cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie **8** tal. półrocznie **4** tal. kwartalnie **2** tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie **9** tal. **10** sgr. półrocznie **4** tal. **20** srg. kw artalnie **2** tal. **10** sgr

LUŹNE UWAGI.

XIV.

Lwowskie Towarzystwo przyjaciół Sztuk pięknych.

II. Każde stowarzyszenie, każda instytucja, jeśli ma żyć i rozwijać się pomyślnie, musi mieć odpowiednich kierowników. Gdy tych brak, rzecz z największą trudnością poczęta i w życie wprowadzona, zaczyna najpierw chromać, potem zapada na suchoty, a w końcu umiera z zupełnego sił braku. Smutny ten fakt powtarza się niestety zbyt często w naszem społeczeństwie. Nie jedna myśl zbawienna, jedynie dla tego nie wydała owoców zdrowych i korzystnych dla kraju, że nie było zdolnej głowy i rąk energicznych, któreby nią odpowiednio pokierowały.

Patrząc na działalność lwowskiego Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych, nie możemy ukryć przekonania, że i w jego organizmie leżą zarody śmiertelnej choroby. Do wydziału Towarzystwa weszły osobistości ze wszech miar zacne i najlepszemi przejęte chęciami, którym atoli brak bądź energji niezbędnej do kierowania młodą instytucją, bądź znajomości sztuki. Brak energji oddziaływa fatalnie na kraj cały — brak znajomości sztuki na artystów. Nie ubliżamy nikomu, ale z ręką na sercu niech nam Wydział odpowie, ilu liczy takich członków, którzy sprężyście pracują dla Towarzystwa, a ilu takich, którzy rozumieją się na sztuce? Dopóki do Wydziału nie wejdą ludzie nowi, energiczni, znający kraj, a obok tego kochający sztukę i umiejący ocenić ją należycie — dopóty o rozwoju Towarzystwa mowy nie będzie.

Słyszymy już co na to odpowiadają zwolennicy teraźniejszego wydziału. Artyści nie przysyłają do Lwowa obrazów, ponieważ publiczność nasza rzadko je kupuje, a Towarzystwo samo rozprzedając stosunkowo mało akcyj, nie jest dość bogate by mogło nabywać droższe dzieła i przeznaczać je do losowania. Na to odpowiemy: Amatorów kupujących obrazy lub rzeźby, brak tak dobrze w Krakowie i Warszawie, jak we Lwowie. Zeszłego roku dzienniki warszawskie skarżyły się aż nadto głośno na obojętność publiczności, a co do Krakowa, to pod tym względem jeśli nie gorzej, z pewnością lepiej tam się nie dzieje. Ale za to w Warszawie i w Krakowie towarzystwa umieją przynajmniej dzieło sztuki należycie ocenić, i nie dadzą pierwszeństwa dobrze wymalowanej kiełbasie przed prawdziwą kompozycją, jak to omal zeszłego roku u nas się nie stało. Tamte kupują także do losowania utwory mające prawdziwą wartość artystyczną, gdy tymczasem nasze kierują się najczęściej protekcją. Jaśli dodamy, że Towarzystwo lwowskie martwotą swoją nikogo nie potrafi zentuzjazmować, to dziwić się nie będziemy, dla czego bardzo wielu artystów omija nasze wystawy.

Gdy wystawy będą lepsze, poprawi się materjalny byt Towarzystwa, a popyt za akcjami będzie także większy. Jedno wypływa z drugiego. Jeśli prócz tego Wydział zainteresuje ogół, lepszemi ajenturami na prowincji, lepiej utrzymywaną reklamą, artystycznemi stypendjami, a nawet podróżującemi wystawami, co także nie należy do cudów, to przekonają się wszyscy, że do lat kilku lwowskie Tow. Sztuk pięknych stanie na tej wysokości, na jakiej widzieć je pragniemy. Ale aby tego dokonać, potrzeba nowych ludzi. O tych niech pomyślą członkowie przed walnem zgromadzeniem.

Zbliża się dzień otwarcia wystawy. Nie wiemy co przyszle Matejko, i czy w ogóle przyrzekł co przysłać; wiemy atoli, że prócz Matejki, 37 artystów polskich wystąpiło na tegorocznej wystawie wiedeńskiej. Ponieważ porozumiewanie się listowne, nie zawsze bywa skuteczne, przeto zdaje nam się, że Wydział powinien kogoś wysłać do Krakowa, Wiednia i Monachjum, aby ten osobiście nakłonił naszych artystów, do wzięcia liczniejszego udziału w tegorocznej wystawie lwowskiej. Żywem słowem stokroć lepiej trafia się jak pismem. Że koszta podróży takiego delegata wrócą się w dwójnasób, o tem ponoś nikt nie będzie wątpił.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

III.

(Ciąg dalszy.)

Dylski zadrżał jakby schwytany na uczynku: przyszło mu na myśl, że syn nie spał i widział i słyszał wszystko, i przeląkł się syna, więcej niż własnego sumienia, bał się uchodzić za zbrodniarza w oczach jego. Wnet jednak zreflektował się, że syn nic widzieć nie mógł, bo drzwi do pokoju jego były zamknięte i on przytem chory na oczy, podpatrywać go nie mógł. A z tego że wychodził i wracał do stancji niczego domyśleć się ani przypuszczać nic nie mógł. Ta reflekcja uspokoiła go i z lżejszem sercem wszedł do pokoju synów.

— Czego chcesz Jasiu? — spytał.

— Zamknij ojciec drzwi, światło mnie razi.

Dylski zamknął drzwi i podszedł ku synowi.

— Co to za hałas był? Kto tu przychodził?

— To ten gałgan Dawid.

— Czegoż on chciał?

— Powiada, że zostawił tu swój pugilares z pieniędzmi. Czy to podobna w to uwierzyć, żeby żyd zapomniał o pugilaresie. Poprostu ma złość do mnie i chce mi szkodzić. Nawet kto wie czy nie dlatego przyszedł tu dzisiaj o takiej porze. Ale niedoczekanie jego. Ja mu pokażę co to jest posądzać uczciwego człowieka.

Mówił tak długo, bo mu szło o usprawiedliwienie się przed synem, więcej jeszcze niż przed żoną i córką. Był wymowny we własnej obronie i zdawało mu się, że go zupełnie przekonał.

Jan wysłuchał spokojnie, w milczeniu mowy ojca, potem spytał zniżonym głosem:

— Gdzie ojciec schowałeś ten pugilares? Czy jest w bezpiecznem miejscu?

— Ależ Jasiu.

— Mów ojciec śmiało, Józef śpi, nie ma wiele czasu do stracenia.

Mówił to tonem, który pokazywał, że ani trochę nie wątpił, że ojciec schował pieniądze. Zapierać się było niepodobieństwem.

Dylski usiłował jednak jeszcze bronić się.

— Jakto, więc ty przypuszczasz?

— Mówiłem, że nie ma czasu — rzekł niecierpliwie Jan — gdzie ojciec schowałeś ten pugilares?

— W kloace, za słupkiem — rzekł cicho Dylski. — Zrobiłem to dla was, dla waszego szczęścia.

Usiłował przed synem wytłumaczyć się by go nie uważał za zbrodniarza. Jan jednak nie zwracał wcale na to uwagi, myśl jego zajęta była tylko pugilaresem.

— Tam znaleźć mogą — rzekł — nie oni, to kto inny.

— Więc cóż zrobić?

— Przynieś go ojciec tu.

— Tutaj będzie rewizja.

— Nie znajdą, tylko prędko. Mamy nie wiele czasu.

Zimna krew i spokój Jana zaimponowały ojcu, i przeraziły go zarazem. Nie przypuszczał nigdy, że znajdzie w nim tak wytrawnego wspólnika zbrodni. Przed chwilą myślał, że sam jeden z całej rodziny był zdolny zrobić coś podobnego, zniżyć się do tak potwornego czynu. W ciemnościach złego, w które się zapuścił, namacał własnego syna. Wydawało mu się to strasznem; ale nie było czasu zastanawiać się nad tem, trzeba było iść po pugilares. Nie mógł domyśleć się, gdzie go Jan ukryje; ale wierzył że go ukryje dobrze; takiej wiary w tej chwili nabrał w zbrodniczą genialność jego.

W chwili, gdy miał wychodzić z pokoju, Jan cichym syknięciem przywołał go napowrót i kazał mu przynieść wraz z pugilaresem kawałek czarnego jedwabiu.

— Czy matka śpi? — spytał jeszcze.

— Nie.

— Weź ojciec szklankę, niby wychodzisz po wodę dla mnie na podwórzec.

Rozumiem — szepnął Dylski nieprzytomnie, tak go odurzyła ta przytomność syna.

Wyszedł i za kilka chwil powrócił ze szklanką wody, pugilaresem i nitką jedwabną. Zastał Jana uchylającego okno.

— Co to będzie, na co otwierasz okno? — spytał.

Jan uważał odpowiedź za zbyteczną, wyciągnął tylko rękę po pugilares.

— A nitka?

— Tutaj jest.

Wziął nitkę z rąk ojca, który dygotał cały, okręcił nią kilka razy pugilares, przywiązał koniec do haczyka u okna, i zawiesił pugilares na tej nitce, z drugiej strony okna. Trwało to wszystko chwilkę małą.

Potem zamknął okno i rzekł:

— Teraz niech szukają.

Dzwonek zabrzęczał w tej chwili u bramy.

— Idą — szepnął Dylski.

— Wracaj ojciec do siebie.

— Do warstatu?

— Gdzie bądź, byle tu ojca nie zastali.

Dylski wyszedł; był posłuszny rozkazom syna jak uczeń mistrzowi.

Chcąc być jak najdalej od miejsca, gdzie znajdował się pugilares, by odciągnąć uwagę szukających, osądził, że lepiej będzie wrócić do warstatu. Zeszedł więc tam, spiesząc się, by go nie spotkano na schodach i począł się rozbierać. Słyszał jak kilka osób wchodziło po schodach na górę, rozróżnił głos Mendla, który wskazywał drogę. Nie wyszedł jednak i zabierał się do spoczynku. Chciał tem dowodzić swej niewinności i udawać spokojnego.

Za chwilę zastukał ktoś do drzwi.

— Kto tam?

— Proszę otworzyć.

Dylski poszedł otworzyć. We drzwiach stał ajent policyjny. Dylski, choć był przygotowany na to, zmięszał się i nie mógł znieść przenikliwego, bystrego spojrzenia ajenta. Chciał pomięszanie zamaskować pytaniem i rzekł.

— Czego pan sobie życzysz?

— Pan jesteś Jędrzej Dylski?

— Tak.

— Jestem inspektor policyjny, ubierz się pan i chodź ze mną. Mamy zrobić w pańskiem mieszkaniu rewizję.

— Jakiem prawem?

— Na skargę Dawida Mendla.

— To jest potwarz. Ja go będę skarżył za tę napaść.

— Tego panu nikt nie zabrania, ale teraz bądź pan łaskaw pofatygować się ze mną.

Dylski ubrał się i poszedł na górę przybrawszy minę obrażonego i pokrzywdzonego. Na schodach i we drzwiach stali policjanci, w mieszkaniu żona i córka były już na nogach, na pół ubrane i wystraszone tą nocną wizytą. Józef również wyszedł ze swego pokoju i od matki dowiedział się o co chodzi. Ani na chwilę nie wątpił o niewinności ojca i dlatego oburzony był na Mendla, że śmiał rzucić takie podejrzenie na niego.

— Dlatego, że my biedni — rzekł przystępując do żyda — to sądzisz pan, że już wolno ci podejrzywać nas o nieuczciwość. Tak się nie godzi, panie Mendel.

Żyd nic nie odpowiedział; teraz nie widział już potrzeby wdawania się w rozmowy, był panem sytuacji, cała rzecz zależała od rewizji i tej tylko czekał niecierpliwie, bacznie obserwując wszystkich członków rodziny Dylskiego, czy się które nie zdradzi jakim ruchem lub słowem.

Rozpoczęło się śledztwo. Mendel raz jeszcze opowiedział komisarzowi jak przyszedł umawiać się o robotę z Dylskim, jak płacąc mu za nią wyjął pugilares, jak potem wskutek pożaru zostawił ten pugilares na stole i pobiegł gasić ogień, a w końcu wyszedł zapomniawszy go zabrać z sobą. Objaśnił dalej, że szedł prosto do domu, że nigdzie po drodze nie wstępował, ani się rozpinał, i że wróciwszy do domu zaraz spostrzegł swą stratę i pobiegł po jej odbiór do Dylskiego.

Dylski znowu ze swej strony tłumaczył się, że ani on ani nikt z jego rodziny pugilaresu nie widział, że żyd albo gdzie indziej zgubić go musiał, albo umyślnie przez złość wpiera to w niego, aby go zgubić w opinji i podkopać jego dobrą sławę. Powtarzał to wszystko, co przedtem mówił do żony, córki i syna na swoje usprawiedliwienie i mówił wiele jeszcze innych rzeczy oprócz tego. Ale właśnie ta obfitość słów nie podobała się komisarzowi i obudziła w nim pewne prawdopodobieństwo posądzeń Mendla. Na podstawie tych spostrzeżeń rozpoczęto rewizję. Odbyła się ona nadzwyczaj ściśle. Przetrząśnięto każdy kącik, podnoszono każdy strzępek, zajrzano we wszystkie schowki, nawet przy osobach zrobiono jak najostrzejszą rewizję mimo płaczu kobiet i protestu Dylskiego. Nic jednak nie znaleziono coby mogło naprowadzić na jakikolwiek ślad.

Komisarz zostawił starą Dylskę wraz z synem i córką pod strażą, a sam z ajentami i Dylskim, którego pilnie obserwował, chciał przetrząsnąć drugi pokój.

— Tam leży mój syn chory na oczy — odezwał się Dylski — tam ze światłem wchodzić nie można.

— Chory może na ten czas zawiązać oczy, by go światło nie raziło, to mu nie zaszkodzi, a my musimy zrobić swoje — rzekł komisarz spokojnie i uprzedziwszy chorego wszedł potem z lampą do drugiego pokoju. I tu równie skrzętnie szukano, przetrząśnięto książki, papiery, nawet łóżko chorego, którego tymczasem przeniesiono na łóżko brata; ale mimo tak dokładnej rewizji nic nie znaleziono.

Kiedy ajenci policyjni zbliżali się do okna, Dylski pobladł, oczekiwanie zaparło mu oddech w piersiach i ślina wyschła w ustach z trwogi. Ale pomimo bystrości i sprytu żadnemu z ajentów nie wpadło nawet na myśl szukać zguby za oknem. Jeden wprawdzie przysunął się tuż do okna i przysłoniwszy ręką światło spojrzał na murek sterczący z drugiej strony okna, czy tam co nie leży; ale zrobił to raczej dla formy, nie w nadziei znalezienia tam czego i wnet przeszedł w inną stronę. Dylski odetchnął i ścisnął potajemnie z uciechy rękę Jana, przy którym stał właśnie.

— Czy pan zajmujesz tylko te dwa pokoje? — spytał komisarz zwracając się do Dylskiego.

— I warstat na dole — dorzucił prędko Mendel.

— A, jest i warstat Bądź pan łaskaw zaprowadź nas tam.

Dylski odważnie i swobodnie poszedł naprzód. Obawa już znikła, pieniądze uważał jako swoją własność. Ta myśl dodała mu; fantazji. Komisarz zauważył to usposobienie zmyliło go ono, uważał je za dowód niewinności oskarżonego i dlatego zwróciwszy się do żyda rzekł półgłosem:

— Panie Mendel, robię pana uważnym, że jeżeli posądzenia pańskie się nie sprawdzą, pan będziesz grubo odpowiedzialnym za tę rewizję.

— Niech siebie pan komisarz nie boi, ja biorę wszystko na siebie. Ja mogę przysięgać na to, co on schował.

Weszli do warstatu. Dylski sam rozbudził chłopaków i kazał im światło zapalić.

Był już pewnym siebie i teraz nawet życzył sobie najściślejszej rewizji, bo im ta będzie surowszą, tem bardziej niewinność jego się uwydatni i będzie mógł dochodzić sądownie Mendla za posądzenie. Rozzuchwalony tą nadzieją wszedł śmiało do warstatu i towarzysząc na każdym kroku komisarzowi stawał się coraz mowniejszy.

— Czy pan tu sam nocujesz w tym warstacie? — spytał komisarz.

— Tak, odparł Dylski rezolutnie.

— I oprócz pana nikt tu nie wchodzi?

— W dzień wchodzi czeladnik i chłopcy.

— Ale nocą np. o tej porze nikt.

— Nikt.

— Bądź pan łaskaw ułatwić nam rewizję i wskazać wszystkie schowki.

Było to żądanie, do którego skłoniło komisarza znużenie; nie miał już nadziei znalezienia czegoś, szło mu tylko o dopełnienie formalności. Dylski zmiarkował tę zmianę w postępowaniu komisarza i pełen otuchy z tryumfującą miną oprowadzał go po warstacie.

— Tu jest szafa na rzeczy — rzekł otwierając drzwiczki — ale pusta.

Otworzył szufladę i oświecił świecą. Komisarz spojrzał obojętnie, — nie było co patrzeć, szafa była całkiem pusta.

— A to — mówił Dylski idąc dalej — to mój warstat i stolik.

Wziął znowu szufladę i wysunął śmiało, ale nagle ją zamknął i pobladł okropnie, bo w głębi szuflady spostrzegł tysiąc reńskowy banknot. Żyd dostrzegł go także i jak tygrys rzucił się do szuflady.

— Moje pieniądze, — zawołał chwytając rękami szufladę, którą Dylski zatrzasnąć usiłował. Panie komisarz, każ mu pan niech otworzy, tu są moje pieniądze.

Ajenci odciągnęli Dylskiego na bok, otworzono szufladę i komisarz wyjął z niej banknot. Włożył go tam Dylski w czasie, gdy miał zamiar w warstacie ukryc pieniądze. Potem namyślił się, jak wiemy, i zmieniwszy zamiar powyjmował napowrót pieniądze, ale w ciemności i pomięszaniu nie mógł dostrzedz, że nie wyjął wszystkich. To go zdradziło. Nie było wątpliwości, że to banknot Mendla, bo na odwrotnej stronie było jego nazwisko ołówkiem niemieckiemi literami wypisane. Komisarz przeszukał szufladę z obudzoną pilnością: ale nic więcej nie znaleziono.

— Każ go pan związać, panie komisarzu — rzekł żyd tryumfująco — niech powie gdzie resztę schował. Tu wszystkie pieniądze być muszą.

— Czekaj pan — trochę cierpliwości — rzekł komisarz i zwracając się do Dylskiego z banknotem w ręku, zapytał powolnym głosem:

— Zkąd ten banknot bierze się tu — u pana? Wszak sam się przyznałeś, że oprócz stu reńskich wziętych od pana Mendla nic więcej nie miałeś.

— Miałem jeszcze drobne pieniądze wzięte dziś za robotę — odrzekł ponuro Dylski rzucając niepewne spojrzenia na boki — jak wilk przyparty do muru, gdy usiłuje się wymknąć.

— No, tak — mógłeś pan mieć drobne. Ale zkąd bierze się u pana banknot na tysiąc reńskich i to właśnie z nazwiskiem pana Mendla.

— Nie wiem. Mógł go podrzucić, aby mnie zgubić.

— Podrzucić? Czy pan, panie Mendel, robiłeś umowę z oskarżonym tu czy na górze?

— Na górze panie komisarzu — odpowiedział żyd prędko — mogą to wszyscy poświadczyć — niech on sam powie.

— Więc tutaj nie był dziś pan Mendel — rzekł komisarz zwracając się do Dylskiego.

— Ale teraz jest. Tak samo mógł to zrobić teraz, jak przedtem. Zresztą nie do mnie należy tłumaczyć, w jaki sposób ten banknot tu się dostał — ja o nim nic nie wiem. Gdybym był schował, to musiałyby być i inne banknoty i pugilares.

Może być, że powoli się znajdą — rzekł z flegmą komisarz i zabrał się znowu do rewizji.

Teraz rewizja odbywała się już z większą skrupulatnością; znaleziony banknot zachęcił do dalszych poszukiwań. Poczęto na nowo przetrząsać wszystko w warstacie, w izbie czeladnej, w sieniach, — szukano nawet po podwórzu a ślady nóg wyciśnięte w popiele naokoło domu naprowadzały na słuszny domysł, że może i tu gdzie ukryto część pieniędzy. Nic jednak nie znaleziono. W kloace również odkryto ślady stóp obranych popiołem. Widocznem było, że ktoś od dołu przeszedł tutaj, — dostrzeżono nawet za słupkiem świeżo starty kurz i kawałek gumki zahaczony na gwoździu — gumki, jaką zwykle opasuje się pugilaresy. Mendel zaraz dodał, że jego pugilares był właśnie także opasany gumką. Wszędzie więc natrafiano na ślady, po których można się było łatwo domyśleć, że Dylski skwapliwie szukał miejsca na schowanie pieniędzy; ale pieniędzy samych, prócz owego jednego banknotu, nie znaleziono więcej, pomimo, że ajenci policyjni nie pominęli żadnego kącika, żadnego kawałeczka bez dokładnych oględzin.

Poszukiwania tego rodzaju nie mogły się odbywać w tajemnicy; chodzenie tylu osób po schodach i podwórzu, ruch świateł pobudziły mieszkańców, uchylano drzwi, otwierano wyglądy u okien, by się dowiedzieć o przyczynie tej nocnej rewizji; na pół ubrane figury, zaspane twarze w czepeczkach i bez, pokazywały się tu owdzie.

Tylko z rodziny Dylskich nikogo widać nie było; policjant pilnował drzwi ich mieszkania i nie pozwalał się wydalać. Zbita w gromadkę, jak strwożone stado owiec, oczekiwała niespokojnie końca rewizji. Józef był zmartwiony tym wypadkiem; Marynia gryzła wargi z oburzenia, a matka lamentowała na wstyd, jaki ich spotkał. Jeden tylko Jan zachował się spokojnie, z zimną krwią i uspokajał rodzinę, że się nic stać nie może złego.

Czyż może się co więcej stać, jak się stało? — spytał boleśnie Józef. — Takie posądzenie, taki wstyd — czyż to mało?

— Żyd odpokutuje za to. Wytoczymy mu proces.

Nagle przestał mówić i nadsłuchiwał, a potem rzekł:

— Już odchodzą. Słychać ich kroki już w sieni koło bramy.

— Chwała Bogu, że się to raz skończyło — rzekła Dylska składając nabożnie ręce.

Domysł Jana sprawdził się; policjant wartujący przy drzwiach także odszedł. Słychać było jak schodził po schodach. Niedługo potem zamknięto bramę — i zrobiło się znowu cicho. Dylski jednak nie wracał na górę. Józef zszedł do warstatu do niego. Za chwilę powrócił blady i pomięszany.

— Co się stało? — spytała Dylska ujrzawszy zmienioną okropnie twarz syna.

— Ojca zaaresztowano — odrzekł Józef.

(C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW

Napisał

W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Najpopularniejszym po Mickiewiczu poetą jest bezsprzecznie Wincenty Pol; a jeżeli prawdą jest, że nie ma Polaka, któryby nie czytał „Pana Tadeusza,“ tak niezawodnie każdy z nas czytał: „Pieśń o ziemi naszej,“ „Mohorta“ lub „Pieśni Janusza.“

Powiadają, że Wincenty Pol był poetą szlacheczczyzny. Być może. Ja jednak w jego Pieśni o ziemi naszej, w Pieśniach Janusza, w Obrazach z życia i podróży, w Mohorcie, widzę tylko Polaka, gorąco kochającego kraj i naród; a jeśli słychać w nim czasem gorętsze wspomnienie szlacheckiej przeszłości, wynika ono nie ze szczególnego zamiłowania szlacheckości, ale jest oddźwiękiem tego ogólnego nastroju uczucia narodowego, które się zawsze zwraca do przeszłości, jak do utraconego raju; a że ta przeszłość była szlachecką, musimy ją wziąć jaką była. Jakkolwiek Pol apotezował szlacheczyznę w swych późniejszych, dla chleba pisanych utworach; wyznaniem jego wiary wobec narodu pozostanie na zawsze natchniona „Pieśń o ziemi naszej,“ zwłaszcza jej końcowe ustępy, w których mówi o ludzie i że „w ludzie przyszłość żyje;“

A czy chcecie wiedzieć jaka?
Świetna! świetna!

W zamiłowaniu przeszłości i we wierze w przyszłość, leży tajemnica popularności Wincentego Pola. Mówił on tak gorąco do narodu, że go tenże pokochać musiał; a że zarazem mówił przystępnie, mową niejako codzienną, dla wszystkich zrozumiałą, wyrobił sobie nawet szersze koło czytających jak którykolwiek z poetów.

Trzebaż dowodzić przyczyn, dla czego malarstwu dostarczał Pol treści do obrazów? Wszak one jasne; tłumaczą się już samą popularnością poety. Jeżeli poezje Mickiewicza mają największą liczbę, to poezje Pola mają za to najszczęśliwszych ilustratorów.

W szeregu ilustratorów Pola liczymy malarzy jak Matejko, Kossak, Eljasz, Brandt, Sucholdolski, nie wspominając innych.

„Wit Stwosz“ należy do dawniejszych obrazów Jana Matejki; widział go Kraków i Warszawa; rozszedł się po kraju w kopjach drzeworytniczych, litografjach i fotografjach. Treść obrazu zaczerpnięta z końcowych ustępów poematu Pola, da się opowiedzieć kilkoma słowami.

*

Ociemniały, z piętnem hańby na twarzy wypalonem, prowadzony przez córkę, przystępuje nieszczęśliwy mistrz do kropielnicy, umieszczonej w przedsionku, pod krucyfiksem, aby w niej umaczać palce.

Trzeba widzieć oryginał, aby pojąć, jaką potęgę włożył malarz w twarz nieszczęśliwego mistrza. Te rysy drgają bolem duszy, a jednak czoło zda się pogodne; pokornie zbliża się do ukrzyżowanego, a przecież dumnie podniósł głowę, jakby chciał pokazać gawiedzi wrogiej, że jest wyższy nad jej szyderstwa i złości; upokorzony wydaje się ich władcą, taki w jego postaci majestat nieszczęścia. Jakkolwiek Matejko stworzył później wielkie dzieła, jednak takiej mówiącej głowy, nie zaklął więcej na płótno. Dziewcze prowadzące ojca, smutne i załzawione, nieświadome jeszcze całego ogromu nieszczęścia artysty, należy do najpiękniejszych postaci w sztuce naszej.

Obraz ten jest całym poematem i bez przesady powiedzieć można, że malarz przerósł poetę. Bo nie zaprzeczycie, że malarz jednym obrazem oddał artystycznej dzieje Wita Stwosza, jak Pol całym poematem, któremu brak siły i porywów prawdziwego natchnienia.

Techniczne wykonanie obrazu; więc rysunek i koloryt usuwają się z pod krytyki, która im nic zarzucić nie może, a chwalić uważa za zbyteczne.

„Pachole hetmańskie" dostarczyło Juliuszowi Kossakowi treści do dwóch ilustracyj. Jedna wykonana olejno przedstawia Hetmana Tarnowskiego pod Glinianami, jak stojąc na mogile, zwołuje za pomocą „Andaluzy" inne rozpierzchłe konie; druga wykonana akwarelą, przedstawia „Stado hetmańskie." Poeta i malarz idą tutaj ręka w rękę co do malowniczości przedstawienia, a dość zwrócić uwagę czytających, że konie, będące głównym przedmiotem obrazów, są końmi Kossaka, aby się uwolnić od dalszego omawiania tych prześlicznych utworów. Z obydwu obrazów zdjętemi były fotografje.

Walery Eljasz posiada w swej tece sześć ilustracyj do „Pacholęcia hetmańskiego", wykonanych piórkiem. Chociaż one dotąd publikowanemi nie były, zdaję z nich sprawę w nadziei, że artysta nie zechce więzić ich dłużej w tece, ale przedstawi publiczności, gdyż na to ze wszech miar zasługują.

Na pierwszym obrazie przedstawia nam artysta razem z poetą (Pach. Hetm. I. str. 24) „Pożegnanie rodzica," który jeszcze ostatnie nauki moralne daje pacholęciu i opiece protektorów poleca.

Na drugim obrazku widzimy jak pacholę ćwiczy się w strzelaniu do tarczy (I. str. 63.) Obydwa obrazki są pojęte i wykonane con amore, a samo pacholę należy do najszczęśliwszych kreacyj artysty.

Trzeci rysunek wziął za przedmiot Hetmana Tarnowskiego, gdy ten w towarzystwie pacholęcia wjeżdża między lud zgromadzony pod zamkiem w pierwszy dzień Wielkanocy i śmierć króla zwiastuje (I. str. 102). Postać hetmana szlachetna, twarz smutna i wymowna, lud ugrupowany szczęśliwie, jakkolwiek typy pojedyncze za mało mają wybitności.

Na czwartym obrazie widzimy pacholę ranione tatarską strzałą (I. str. 146), gdy hetmańska drużyna troskliwie koło niego się skupia. Kompozycja nader ożywiona, charakterystyczna; jednak sztywność w postaci pacholęcia muszę wytknąć artyście. Pojmuję, że bohaterski dzieciak nadrabiał miną i prostował się, aby utaić ból przed towarzyszami, ale w żadnym razie nie mógł być tak sztywnym; tem więcej nie może nim być ze względów estetycznych.

Piąty rysunek przedstawia ostatnie chwile hetmana Tarnowskiego (I. str. 187). Konającego starca podtrzymuje pacholę, urosłe w mężczyznę, razem z drugą osobą; domownicy klęczą i modlą się; we drzwiach stoi służba. Jest to scena oddana z takim pietyzmem dla uroczystości chwili, taka rzewna i głęboka, a postać klęczącego starego domownika i osoby stojące we drzwiach, z takiem są wykonane mistrzowstwem, że tylko powinszować trzeba artyście tego cacka i przejść do szóstego rysunku, który pokazuje nam pacholę już w starości, jak siedząc między domownikami, przy własnem ognisku, opowiada im swoje dzieje (I. str. 157). Gdyby Kremer widział tę scenę powiedziałby o niej, że jest mile „domaszną," ja wolę powiedzieć, że jest serdecznie polską i z fantazją oddana. Wykonanie techniczne wszystkich rysunków troskliwe, a błędy przerysowania jakie dostrzegłem, w koniach szczególnie, łatwo poprawić się dadzą. (C. d. n.)

Z WĘDRÓWEK PO ANATOLJI

przez

W. KOSZCZYCA.

(Ciąg dalszy.)

Effendi widocznie był zaintrygowany temi odkryciami geologji guślarskiej, a wzrok jego badawczy szukał odpowiedzi na naszych twarzach. Ogólne dopiero parsknięcie śmiechem przy końcu opowiadania wyprowadziło go z chwilowego zakłopotania i pozwoliło bezmyślności wschodniej powrócić na jego oblicze.

Giumiusz-Maaden (kopalnia srebra), ku której wkrótce zbliżyliśmy się, nie przedstawiała nic szczególnego, — była to góra jak każda inna, tak gęstym lasem okryta, że trudno było uwierzyć, aby na niej kiedykolwiek znajdował się większy zakład górniczy. Wszelka jednak wątpliwość powinna ustąpić, jeżeli się rozważy podania starożytnych i tradycję przechowaną u miejscowej ludności o wielkich kopalniach srebra i złota na tej górze, o czem najwymowniej świadczą opuszczone szyby i galerje podziemne. W ogóle góry, które mieliśmy przed sobą, zawierają w sobie nieprzebrane skarby mineralne; a w kilku z nich znajdują się kopalnie miedzi i ołowiu, świeżo eksploatowane.

W miarę jakeśmy naprzód postępowali, natura stawała się coraz fantastyczniejszą. Szczególnie uroczym jest wodospad Demir-Baszi (wrota żelazne) na Ak-su. Łożysko rzeki, ujęte w tem miejscu w żelazne ramiona dwóch skał granitowych, sterczących pionowo na kilkaset stóp do góry, wyrzuca z siebie olbrzymi wał spienionej wody, rozlewającej się o kilkaset kroków poniżej w mlecznej białości wstęgi. W miejscu gdzie się wodospad utworzył, przypiera do doliny Ak-su inna dolina, Kiumbet-deressi, po której wije się strumień w szalonym pędzie. Nic piękniejszego a razem i dzikszego nad tę ustroń górską! Zachodni stok doliny rwie się pod niebiosa prostopadłą ścianą, u stóp której niby olbrzymia rama szmaragdowa legło pasmo liściatego lasu; na przeciwległym boku, o łagodniejszej pochyłości, rośnie bór z olbrzymich dębów i świerków, a pomiędzy niemi zaległy bryły białego marmuru i szare odłamy skał o dziwacznych kształtach. Na widok tylu romantycznych piękności najobojętniejsze serce musiało zadrżeć z radości, chociaż myśl niepokoiło przypuszczenie o możliwych w tych stronach niebezpieczeństwach. Znajdujący się o pół godziny drogi „derwend" (strażnica), na którym ujrzeliśmy powiewający na cześć naszą czerwony sztandar ottomański, dowodził, że opryszki, ta niezbędna ozdoba każdego romantycznego ustronia w Anatolji, muszą i tutaj gnieździć się dość licznie.

Ale nasz charakter urzędowy, zamiast sceny pełnej wzruszeń, sprowadził nam żandarmów, którzy uznali za stosowne uroczyście wystąpić, gdyśmy stanęli przed strażnicą. Starszy żandarm, barczysty chłop, z nosem jak hak i parą sumiastych wąsów, witał nas uprzejmie niby starych znajomych, a gdyśmy zsiedli z koni, poczęstował zaraz kawą, i w dodatku ocukrzoną.*) Czuła serdeczność jest niezawodnie jednym z przymiotów żandarmskich, chociaż tym razem wyglądała nieco przesadnie. Przekonaliśmy się o tem po wejściu do izby gościnnej, udekorowanej mnóstwem rogów z jeleni, capów i kozic, które pochodziły ze zwierzyny upolowanej przez załogę, tuż u progów strażnicy. Wąsaty dowódzca, usadowiwszy p. B. na honorowem miejscu, podał mu „czibuk" (fajkę) i natychmiast wystąpił z prośbą następującej treści:

— Beju! padyszach niech długie lata nam żyje, a tyś wielkim człowiekiem, którego chciałbym mieć honor zostać sługą. Na miłość Boga, zrób mnie inżynierem, a ja całe życie będę modlił się za ciebie!

— Czy słyszycie co ten dzik plecie? — zawołał zaperzony p. B. gdy mu przetłumaczono skromne żądanie Turka.

— Wałła, duszko-baranku, może myślisz że nie potrafię być inżynierem? Wiedz tedy, że byłem żołnierzem i to na flocie, a nie było zręczniejszego odemnie palacza. Ale to wszystko niczem, umiem ja coś pożyteczniejszego! Oto nikt lepiej odemnie nie potrafi upiec „kiebabu"*) nawet w Stambule. Waj! lubiliż mnie, lubili oficerowie za to, bo piekłem im wszystko przy moim piecu. Czegoż to człowiek nie nauczy się chodząc po świecie? Byłem ci niedawno w Trebizondzie, i tam widziałem inżyniera z palacza okrętowego — cha! cha! cha! Bądź więc spokojny i o mnie, wkrótce zostanę najprawdziwszym inżynierem i nauczysz mnie tylko trochę liczyć na narzędziu i waszych sztuczek inżynierskich... Skończywszy zaśmiał się dobrodusznie szczególny kandydat inżynierski.

Pan B. kazał mu oświadczyć, że będzie o nim pamiętał; a jeśli teraz nie był tak dumnym jak z początku, pochodziło to ztąd, że inżynier-palacz z Trebizondy, nie tylko mu był znanym, ale nawet kilka lat z nim kolegował. Wypadek ten przyspieszył zpewne nasz wyjazd tak, że niektórzy jeszcze kawę dopijali, gdy dano hasło do podróży.

Droga od strażnicy wspinała się w górę, pośród niebotycznych drzew. Mieliśmy przed oczyma niektóre okazy świerków sążniowej niemal średnicy, a długości od 15 do 20 sążni; średnica dębów była nierównie większą. Wśród ci-

*) Turcy piją kawę nie ocukrzoną przez oszczędność i odstępują od tego zwyczaju tylko wyjątkowo.

*) „Kiebab" — tureckie pieczyste w kostki krajane i na małych rożenkach z drutu pieczone; ta sama nazwa stosuje się i do każdego innego pieczystego.

szy wieczornej, podróż teraz miała w sobie coś dziwnie uroczego: z zamroczą wieków, przemawiały do nas jakieś głosy tajemnicze, pełne rzewnej powagi. Wkrótce atoli nowy epizod przerwał poważny nastrój.

W połowie drogi usłyszeliśmy na przeciwległym stoku doliny strzał, a w ślad za nim dało się słyszeć głuche ryknięcie i trzask łamiących się gałęzi. Zanadto byliśmy liczni i blisko strażnicy, by się bać napadu opryszków, lecz mimo to łomot był zbyt wielkim, by go mógł spowodować zwierz uciekający. Śmiech jednego z Francuzów, podobny do gdakania kury spłoszonej, oznajmił nam wkrótce, że jakieś komiczne intermezzo przerwało spokój naszej podróży. Istotnie, zamiast zakrwawionego niedźwiedzia albo opryszka, ujrzeliśmy swojskiego bawołu z zadartym ogonem, który jak szalony pędził korytem strumyka. Nowy śmiech i niekoniecznie delikatne uwagi o zręczności myśliwych tureckich, skłoniły jednego z Turków, że nam wytłumaczył całą zagadkę. Bawoł, który przed nami pomykał, był to zbieg zdziczały, który już od paru lat tłukł się po tych lasach i był postrachem tak ludzi jak bydląt jucznych; zdarzało się nawet, że rzucał się na nich i kaleczył okropnie; myśliwi wskutek tego robili na niego zasadzki przy wodzie i nieraz go już raniono, ale zabić nie mogą, bo szatan jakiś jeździ na tem zwierzęciu. Nasłuchaliśmy się w tym dniu tyle ciekawych rzeczy, że ta nas wcale nie zdziwiła jako zbyt powszednia na Wschodzie....

Ostatnie promienie słońca złociły wierzchołki drzew, gdyśmy wydrapali się na górę, a wynurzywszy się z lasu, ujrzeliśmy miasteczko Kiumbet, leżące tuż przed nami, na przecudnej górskiej łące. Mieścina składała się z kilkudziesięciu domów i placu pustego, do którego przypierał z jednej strony nowy han; na około zaś, na łące umajonej najpiękniejszą zielonością i ubranej mnóstwem kwiecia, stały pojedynczo porozrzucane samotne domki z kraglaków, podobne do izb poleskich; były to letnie rezydencje, czyli „jajle“ po turecku. W nich mieszkają podczas letnich upałów panie i panowie kierasundzcy, którzy uciekają przed strasznemi febrami, panującemi zwykle w tej porze na nizinach w całej Anatolji; zwyczaj wynoszenia się w góry jest powszechnym w tych stronach.

Nowy han otworzył nam gościnne podwoje. Nie długo jednak cieszyliśmy się spokojem, po uciążliwej dnia tego podróży. Gwałtowne oburzenie zapanowało wkrótce między europejczykami, należącymi do naszej wyprawy. Dowiedzieliśmy się bowiem, że na tym noclegu prócz świeżej wody i górskiego powietrza nic więcej nie dostaniemy. Żyć dwa dni bez mięsa to było okropnem, a cóż dopiero i bez mleka! Tego było już nadto. Francuzi, a na czele ich p. B. wybuchnęli gniewem, aż się przestraszyli poczciwy Musaaga i nasz Halil-czausz. Nie długo też czekając pomknęli obaj do „müdüra“ (naczelnika powiatu) kimbetskiego, grożąc mu wielkiemi nieprzyjemnościami, w razie gdyby żądanych wiktuałów natychmiast nie dostarczono! Na tę wiadomość, pan naczelnik kazał nas przeprosić i oznajmić, że sam jedzie na pastwisko po barany. Z początku ta wiadomość uciszyła szemranie w naszym obozie, lecz gdy już zmrok począł zapadać, a szanownego müdüra z mięsem nie było widać, nowe krzyki powstały.

— Czekajcie, czekajcie! — zawołał wtedy kapitan wzruszony udręczeniem Francuzów — znajdę coś lepszego od baranów! — Tu chwyciwszy za dubeltówkę, wybiegł na plac; ale jak prędko wyszedł, tak prędko powrócił, a stawiąc w kącie strzelbę, dodał: — Zapomniałem że słońce zaszło!

— Chodzić po zwierzynę na słońce, czy nie będzie to trochę za daleko?—odezwał się z przekąsem p. B.

— Zawsze bliżej jak twej domyślności do prawdy, kochany Abricot. Widzisz, nie szło mi o zwierzynę na słońcu, lecz po prostu o kury i indyki. Chciałem tutaj powtórzyć fortel, który mi udał się w innej stronie Kierasundy, mianowicie w Bułandżaku, w miasteczku o 4 godziny drogi nad morzem. Zaszedł był tam fakt analogiczny; wybraliśmy się kompanją na sławne wino, ale przyjechawszy na miejsce, mięsa za nic nie mogliśmy dostać, a w dodatku żadna z gospodyń nie chciała ani jednej sztuki drobiu nawet za grube pieniądze odstąpić. Poradziłem na to w sposób bardzo prosty: oto wystrzelałem z okien naszego domu kury i indyki, które na sąsiednich śmietnikach grzebały. Rozsierdzone kobiety pozbiegały się do nas, każda potrząsając przed memi oczyma pomordowanym drobiem. Popłaciłem za wszystko, pozabierawszy naturalnie cały plon zaimprowizowanego polowania, i na ostatku podziękowałem gosposiom, że były tak grzeczne i przyniosły nam to, czegośmy żądali. Okazuje się jednak, że nie zawsze ta sama sztuka może udać się dwa razy! W każdym razie upewniam was, że jeśli nie dziś, to jutro będziemy mieli świeże mięso....

Słowa kapitana ziściły się do joty, a zaledwieśmy się zbudzili z rana, zameldował się do nas p. müdür z baranami. Chociaż sprawa cała poszła po turecku, ponieważ dostaliśmy musztardę po objedzie, nie mniej przeto grzecznie podziękowaliśmy gorliwemu dygnitarzowi, który na wyprawę po barany poświęcił całą noc, i przyrzekliśmy przemilczeć o tym strasznym nieporządku przed jenerał-gubernatorem. Skruszony urzędnik opuścił progi hanu, a my w ślad za nim pożegnaliśmy sławetny Kiumbet.

W kilka godzin później przebywaliśmy najwyższy punkt, grzbiet Kara-Kaja, przeszło 3 tysiące stóp nad powierzchnią morza. Na wierzchołku widać czarną skałę bazaltową, zkąd powstało nazwisko tego miejsca, a dokoła głębokie rozpadliny skalne były zasypane śniegiem, po którym z wielką ostrożnością posuwała się nasza karawana. Stanąwszy na grzbiecie, przypatrywaliśmy się okolicy dokoła i to na znaczną bardzo przestrzeń, pomimo poprzecznych gór łańcuchów. Kraj, który leżał przed nami, wielce różnił się od przebytego, był bowiem całkiem bezleśny a góry nosiły na sobie wyłącznie cechę neptuniczną. Wierzchołki tych wyżyn były okryte pastwiskami, po których snuły się niezliczone stada owiec i kóz, których hodowli na Wschodzie przeważnie się oddają.

Tego dnia podróż nasza po wąziutkiej ścieżynie, wydeptanej kopytami jucznych zwierząt w dolomitowej skale, była niemniej niebezpieczną jak i dotąd przebyta, a w dodatku niesłychanie nudną, czy to wskutek jałowej natury, czy też znużenia, które fatalnie wpływało na nasz humor, pomimo wesołej nadziei, że wkrótce dotrzemy do celu wyprawy. Wrażenie atoli przyjemniejsze odbiło się na naszych twarzach dopiero pod wieczór, gdyśmy się wydobyli ze skalnej szczeliny i pominąwszy jakieś miasteczko, pełne granatowych drzew kwitnących, stanęliśmy na równinie. Przed nami wznosiła się olbrzymia skała z murami twierdzy starożytnej na wierzchołku, u stóp jej zaległa nieregularnie masa domów a poniżej ich ciągnęły się ogrody, przypierające do rzeki. Było to Kara-Hissar.

Malowniczy widok z daleka tracił atoli urok przy wjeździe do miasta. Kilka większych domów pretensjonalnie ciosem przyozdobionych i sterczące minarety, nie mogły zatrzeć przykrego wrażenia, jakie wywierały stosy śmiecia, na których było pełno psów wynędzniałych i nieprzyjemna woń, która szczególniej nas raziła, gdyż od kilku dni przyzwyczailiśmy się do czystego powietrza górskiego. Był to początek udręczeń naszych. Władza bowiem miejscowa, nie należąca do naszego wilajetu, przyjęła nas bardzo niegościnnie. Zamiast przeznaczyć jaki lokal odpowiedni, „mutasaryf“ (prefekt), zostawił nas własnemu przemysłowi. Nie było innej rady, musieliśmy zrzucić pychę z serca i udaliśmy się do hanu, który jak ślepy żebrak wyszczerzał ku nam papierowe okna i obszarpane ściany.

Zajęliśmy wszystkie apartamenta w hanie, a po roztasowaniu się, zaczęliśmy z nudów przypatrywać się ruchowi na ulicach, dziurawiąc w tym celu palcami szyby papierowe. Snujące się pospólstwo tureckie i chrześcijańskie w długich szatach, kobiety zakutane od stóp do głów i niezbędne psy uliczne, nie mogły nas rozweselić. Niespodziane odkrycie przyszło nam w pomoc. Ku zgrozie powszechnej, postrzegliśmy, że mamy w naszem mieszkaniu mnóstwo robactwa. Zawoławszy służbę, aby wszystko prócz naszych rzeczy powyrzucano, wyszliśmy na ulicę, aby zająć miejsca na niziutkich stołeczkach przed sąsiednią kawiarnią.

Zmierzch właśnie padał, a że wnętrze kawiarni było lampą oświetlone, mogliśmy więc z cienia doskonale obserwować. Była to pora w której prawowierni zbierają się na wieczorne pogadanki kawiarniane. Wkrótce ujrzeliśmy tedy wnętrze kawiarni napełniające się poważnemi postaciami w zawojach i fezach, które w rząd zasiadły na niskich sofach pod ścianą. Każdy gość usiadłszy ze skrzyżowanemi należycie nogami, kłaniał się wszystkim dokoła, na co otrzymywał w odpowiedź: „merhaba“ (bądź pozdrowion) i zapalał nargile, które stawiał na podłodze. Ciszę panującą w towarzystwie, przerywały tylko wymienione wykrzykniki, i bełkotanie wody w nargilach. Wkrótce atoli wszystko ożywiło się. Głośny śmiech rozległ się po kawiarni. W progu ukazał się młody Turek w pąsowym dolimanie, o czerwonej twarzy, z czarnym zarostem i świecącemi weselem oczyma; każdy ruch jego był pełen komizmu, a przez szerokie usta cisnęła się swada bajarska. Nowo przybyły był w istocie bajarzem „karagiöz“, Habib, słynnym ze swego talentu opowiadania „müssellik“ różnych historyj.

— Wałła! duszko Habibie — powitał go na wstępie jeden z gości obdarzony potężnym nosem trędowatym, który, sądząc po ozdobach na kałamarzu za pasem, musiał być pisarzem publicznym, — ty zdaje się potrafisz się wykręcić od kozy nietylko przed „mutassaryfem“ ale i sam Izrafil*) nie zapisze cię do ksiąg Sidżinu.

— Zapewne uda mi się to łatwiej jak tobie — odparł prędko Habib — bo nie napisałem sobie wyroku za życia, jakeś to uczynił na twoim nosie....

*) Izrafil, anioł pilnujący ksiąg więzienia piekielnego, Sidżinu.

Homeryczny śmiech zawtórował słowom Habiba, a pisarz pociągnął mocniej nargile i dodał:

— Ależ powiedz mi przecież baranku, wszak wczoraj patrol zabrał cię do kozy gdyś wesoło wyśpiewując powracał do domu, a jak wiemy „mutassaryf“ nie bardzo ciebie lubi — sam djabeł nie mógł ci pomódz!

— Chociaż uczony z ciebie człowiek, effendi, ale jak uważam nie wiesz że na świecie jest ktoś mędrszy od djabła. A nie słyszałaś jak to ludzie powtarzają: że gdzie djabeł nie może, tam babę poszle. Mnie też wybawiła jedna dobrodziejka przy pomocy haremu paszowskiego. By zaś wam dowieść, że kobieta potrafi wywieść w pole nie tylko wielkiego człowieka ale i samego djabła, opowiem wam, wielebni wielce, szanowni panowie, prawdziwą historję o pewnem zdarzeniu w Halepie, które słyszałem z ust jednego świątobliwego derwisza.

Tu nastąpiła pauza, podczas której zgromadzeni poprawiali nogi, napełniając nargile świeżym tytoniem; gdy się wszystko uciszyło, Habib usiadł na środku pokoju na stoleczku i paląc także nargile oraz silnie giestykulując, tak zaczął swoją opowieść. (C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Przypomnijmy sobie, że światło jest objawem ruchu falowego eteru, że interferencja jest spotykaniem się fal i że podobne krzyżowanie fal obserwować można na każdym ruchu falowym, np. na falach jeziora. Dokładniej wywołać je można w rynience wypełnionej rtęcią, którą w dwu sąsiednich punktach w jednym końcu rynienki wprawiamy w ruch falowy, bądź przez jednostajne uderzanie dwoma ostrzami, bądź przez dopuszczanie kropli rtęci; około tak wzburzanych punktów rozchodzą się fale w kołach coraz szerszych, które się mogą przecinać i interferować. W pewnej odległości od punktów wzburzanych koła stają się tak szerokie, że już tylko małe ich łuki mieszczą się w rynience i w postaci linji prostych posuwają się za sobą, jako góry i doły fal. Jeżeli dwa punkta wyjścia fal znajdują się w pewnej odległości jeden za drugim, rozchodzą się dwa systemy fal, a gdy pobudzanie fal trwa nieprzerwanie, to fale jednego systemu mogą się spotykać z falemi drugiego, czyli interferować między sobą. Jeżeli góry fal jednego systemu schodzą się z górami systemu drugiego, lub doły z dołami, to powstają wyższe góry lub głębsze doły; ale gdy góry fali jednej schodzą się z dołami fali drugiej, znoszą się nawzajem i na powierzchni cieczy panuje cisza. Dajmy nadto, że obie krople wzniecające ruchy falowe, spadają w jednakich odstępach czasu, że zatem w obu systemach fal odległość między szczytem jednej góry a następnej, czyli tak zwana długość fali, jest takaż sama. Otóż pytanie główne zasadza się na tem, w jakim razie spotkają się ze sobą góry obu fal lub ich doły, a w jakim góra jednej fali spotka się z dołem fali drugiej. Łatwo pojąć, że pierwszy przypadek będzie miał miejsce, gdy góra fali drugiej oddaloną jest od góry fali pierwszej o całą długość fali, zatem gdy punkta wyjścia fal są odległe o długość jednej fali, albo też o całkowitą długość ilukolwiek fal. Ale, gdy góra fali drugiej jest odległą od góry fali pierwszej o połowę długości fali, to owa góra napotyka dół fali pierwszej; ma to miejsce, gdy punkta wyjścia fal są odległe o połowę długości fali, lub o jakąkolwiek nieparzystą liczbę tych połów (parzysta liczba połów dałaby całe długości fal.) W drugim tym razie fale się nawzajem znoszą, w pierwszym się wzmacniają.

Przepraszamy czytelnika za przyciężki nieco ten ustęp, ale bez tego wyjaśnienia nie podobnaby było zrozumieć całego szeregu zjawisk barwnych. Teraz możemy ściślej ująć, kiedy przez zbieg dwu promieni światła nastąpi zupełne jego wygaśnięcie. W kierunku promienia światła posuwają się za sobą fale eteru; jeżeli więc zetkną się między sobą dwa promienie, których punkta wyjścia różnią się o całkowite długości fal, to nawzajem wzmacniać się będą; jeżeli natomiast spotykające się te promienie wychodzą z punktów odległych o jednę, trzy, pięć itd. połów długości fal, muszą się nawzajem znosić. Jest to zasada słynnego doświadczenia Fresnela, o którem mówiliśmy; dodaliśmy tam jednak, że dla istotnego znoszenia światła potrzeba, aby spotykające się promienie były jednorodne, jednobarwne. W istocie całe rozumowanie powyższe wymaga, aby długości fal w obu systemach, w obu promieniach, były jednakie; różne zaś światła posiadają różne długości fal, im szybciej spada kropla na rtęć, tem prędzej powstawać będą nowe fale, tem długość ich będzie mniejszą; tak samo im szybciej drga eter w promieniu światła, tem krótszemi będą jego fale. W barwie czerwonej eter drga mniej więcej dwa razy wolniej niż w fijoletowej, ztąd też fale eteru przy barwie czerwonej są dwa razy dłuższe niż przy barwie fijoletowej, pierwsze mają około 800 miljonowych części milimetra długości, gdy drugie dochodzą zaledwie 400 miljonowych milimetra. Z tego łatwo wnieść, jak zawiłe są zjawiska w świetle różnorodnem, białem, złożonem z barw najrozmaitszych; jedne barwy wzmacniać się tam mogą, gdzie drugie się znoszą, a gdy niektóre barwy światła białego giną, pozostałe tworzyć będą w tem miejscu złożoną ze siebie barwę.

Wiadomości te przystosujemy teraz do niektórych najprostszych zjawisk interferencyjnych, a przedewszystkiem do wyjaśnienia mieniących się barw, jakie nam przedstawia macica perłowa itp. ciała. Odbijająca powierzchnia perłowej macicy składa się z wąziutkich szpar i wypukłości, światło przeto odbite wychodzi już to z głębi szpar, już ze szczytów wyniosłości i musi koniecznie nastąpić zetknięcie dwojakich tych promieni. Różnica atoli między głębią szpary a szczytem wyniosłości jest niesłychanie drobna, wynosi zaledwie kilka długości owych niepojęcie krótkich fal świetlnych. Zdarzyć się przeto może, że w pewnem położeniu przy tej różnicy znoszą się fale czerwone, a pozostają inne barwy, przedmiot przedstawi się zatem zielonym. Jeżeli cokolwiek tylko zmienimy położenie przedmiotu już inne barwy znosić się będą, odbije się inna mięszanina barwna i przedmiot okaże inną barwę — oto tajemnica barw mieniących się — na materjach jedwabnych, na skrzydłach owadów, na powierzchniach polerowanych, na tak zwanych guzikach Bartona, które są odciskane za pomocą delikatnie narzynanych tafelek stalowych.

(C. d. n.)

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział V.

(Ciąg dalszy).

(Urządzenie „dymników.“ — Ważna kwestja ognia. — Pudełko z zapałkami. — Poszukiwania po nadbrzeżu. — Powrót korespondenta i Naba — Wszystkiego wszystkiem jedna zapałka! — Ognisko rozpalone. — Pierwsza wieczerza. — Pierwsza noc na lądzie.)

Skoro spław z drzewem został wyładowany, pierwszą troską Pencroffa było urządzić „dymniki“ na mieszkanie, zatykając otwory i dziury, któremi wiatr zalatywał. Zapomocą piasku, kamyków i splecionych gałęzi pozapychali szczelnie wszystkie boczne krużganki znaku & wystawione na wiatr południowy, oraz górny guz jego. Zostawili tylko jedną kiszkę poboczną, wąską i krętą, ażeby dym miał którędy wychodzić a ognisko ażeby miało potrzebny ciąg. Tym sposobem podzielili „dymniki“ na kilka izb, jeżli można nazwać tem mianem tyleż ciemnych jam, któremi zaledwie zwierz byłby się zadowolił. Tyle przynajmniej było z nich korzyści, że były suche i że można było w nich prosto stać, zwłaszcza w głównej izbie zajmującej średnią część „dymników.“ Podłogę stanowił drobny piasek i wziąwszy wszystko razem w rachubę, można tam było jako tako wytrzymać, dopóki by się coś lepszego nie trafiło.

Podczas roboty Harbert i Pencroff rozmawiali ze sobą.

— A może towarzysze nasi, rzekł Harbert, lepszą gdzie od naszej wynajdą rezydencję!

— Być to może, odparł marynarz, ale — w wątpliwości trzeba przezorności! Lepiej mieć na łuku jedną cięciwę więcej, niż nie mieć żadnej.

— Mój Boże! rzekł Harbert, żeby tylko przyprowadzili ze sobą p. Smitha, żeby go odszukali, o to byśmy Bogu za to podziękowali!..,

— Prawda! prawda! mruknął Pencroff. Był to człowiek, jakich mało!

— Jakto „był...?“ Więc nie spodziewasz się już ujrzeć go więcej?

— A broń mnie Boże! odparł marynarz.

Robota była tymczasem gotową i Pencroff oświadczył, że jest z niego bardzo zadowolonym.

— Teraz, rzekł, mogą powrócić nasi przyjaciele. Znajdą schronienie dostateczne.

Nie pozostało więc jak tylko przysposobić ognisko i zgotować jedzenie. Było to zadanie proste i łatwe w istocie. Na dnie pierwszego otworu z lewej strony, w którem pozostawioną była komunikacja z powietrzem, położyli obszerne płyty kamienne. Należało zapobiedz temu, ażeby dym wszystkiego ciepła nie wydmuchiwał na dwór, chcąc wewnątrz utrzymać przywoitą temperaturę. Jedną z izb przeznaczyli na skład drzewa, na płytach zaś kamiennych położył marynarz kilka polan i nieco drobniejszych trzasek.

Podczas tych przygotowań, zapytał Harbert marynarza, czyli posiada zapałki.

— Rozumie się, odparł Pencroff, i to na szczęście nasze, bo bez zapałek lub czyru bylibyśmy we wielkim kłopocie!

— Moglibyśmy poradzić sobie w takim razie tak jak dzicy ludzie, rzekł Harbert, pocierając dwa kawałki suchego drzewa, jeden o drugi.

— Spróbuj, mój chłopcze, odparł marynarz, a zobaczysz, czy, oprócz tego że sobie połamiesz ręce, dojdziesz do jakiego rezultatu?

— A przecież to sposób bardzo prosty i bardzo używany na wyspach Cichego Oceanu!

— Nie przeczę, rzekł Pencroff, sądzę jednak, że dzicy muszą mieć osobny jakiś sposób do tego lub używają osobnego gatunku drzewa. Co do mnie, próbowałem już nieraz w ten sposób dobyć ognia, lecz zawsze napróżno! Przyznaję się więc, że wolę zapałki. Gdzie są moje zapałki?

Pencroff sięgnął do kamizelki po pudełko z zapałkami, które, jako zapalony miłośnik tytoniu, zawsze nosił przy sobie. W kamizelce go nie było. Przetrząsł kieszenie u spodni, lecz, ku największemu zdziwieniu swemu, i tam go nie znalazł.

— A, to głupio, i gorzej niż głupio! zawołał patrząc na Harberta. Pudełko musiało mi wylecieć z kieszeni i przepaść gdzieś do licha. A ty, Harbercie, nie masz przy sobie nic, ani krzesiwa, ani nic takiego, czemby można ogień rozniecić?

— Nie mam nic!

Marynarz wyszedł na dwór, trąc czoło gwałtownie, a za nim Harbert.

W piasku pomiędzy skałami, nad brzegiem rzeki, szukali obaj jaknajpilniej, ale napróżno. Pudełko było mosiężne i powinno było odrazu wpaść w oko.

— Słuchaj Pencroffie, rzekł Harbert, nie wyrzuciłeś przypadkiem tego pudełka z łódki do morza?

— Nie byłem tak nierozsądny, odparł marynarz. Ale kiedy co człowiekiem tak rzuca na wszystkie strony, jak nami rzucało, to rzecz taka mała łatwo może się wytrząść. Nawet fajka gdzieś przepadła! Przeklęte pudełko! Gdzie ono może być?

— Morze teraz odpływa, rzekł Harbert, biegnijmy na miejsce, gdzieśmy wylądowali.

Mało było prawdopodobieństwa, ażeby odszukali pudełko, które fale morskie w czasie przypływu musiały ponieść między kupę kamieni, mimo to jednak należało zbadać tę okoliczność. Harbert i Pencroff pospieszyli więc co tchu na miejsce, w którem dzień przedtem wylądowali, oddalone mniej więcej 200 kroków od „dymników.“

Tam pomiędzy kamykami i w rozpadlinach skał poczęli nader szczegółowe i skrupulatne poszukiwania, ale bez skutku. Jeżeli pudełko wypadło w tem miejscu fale musiały je niewątpliwie porwać i unieść ze sobą. Stopniowo jak morze ustępowało, marynarz przeszukiwał najdrobniejsze szczeliny między skałami wszystko daremnie! Była to zguba w takich okolicznościach nader ważna i jak na teraz niepowetowana.

Pencroff nie ukrywał wcale swego bolesnego rozczarowania. Ciężka chmura zawisła na jego czole, lecz nie mówił ani słowa. Harbert, chcąc go pocieszyć, zauważył, że prawdopodobnie zapałki byłyby zamoczone wodą morską, a tem samem nie do użycia.

— Ależ nie mój chłopcze, odparł marynarz. Były w pudełku mosiężnem, szczelnie zamykającem się! A cóż teraz poczniemy?

— Z pewnością znajdzie się jakiś sposób wydobycia ognia. Zresztą p. Smith lub p. Spilett nie będą pewnie tak ogołoceni z zapałek jak my.

— Być może, odparł Pencroff, ale tymczasem nie mamy ognia i towarzysze nasi za powrotem znajdą bardzo mdły tylko posiłek!

— Ależ niepodobieństwem jest, zawołał żywo Harbert, ażeby nie mieli przy sobie zapałek lub czyru!

— Ja wątpię, odparł marynarz potrząsając głową. Najprzód ani Nab, ani p. Smith nie palą, a co do p. Spiletta, obawiam się, że prędzej zachował swoje notatki niż pudełko z siarnikami.

Harbert nie odrzekł na to ani słowa. Zguba zapałek była zaiste godną opłakania. Lecz młody chłopiec miał nadzieję że w ten lub ów sposób, zawsze jednak uda się dostać ognia. Pencroff, bardziej doświadczony, jakkolwiek nie byle czem dawał się zbić z tropu, innego jednak był zdania. W każdym razie nie pozostawało im nic innego, jak tylko oczekiwać powrotu Naba i korespondenta. Ale trzeba było wyrzec się jaj na twardo, które chciał dla nich ugotować, a wikt na surowem mięsie nie przedstawiał się ani dla nich ani dla niego samego w zbyt ponętnej perspektywie.

Przed powrotem do „dymników“, marynarz i Harbert, na wypadek gdyby zupełnie zabrakło im ognia, zebrali świeży zapas litodomów i w milczeniu skierowali kroki ku pomieszkaniu.

Pencroff z oczyma w ziemię wlepionemi szukał wciąż straconego pudełka. Zeszedł nawet cały lewy brzeg rzeki, od ujścia aż do owego zakrętu, gdzie był uwiązany spław z drzewem. Wrócił na ów wysoki blat górny i przebiegł go od końca do końca, przeszukiwał zarośla z kraju lasu — wszystko bezskutecznie.

Gdy Harbert z marynarzem powrócili do „dymników“ była godzina piąta z wieczora. Nie trzeba dodawać, że wszystkie kąty pomieszkania zostały przeszukane i przetrząśnięte. Należało więc pożegnać się zupełnie z nadzieją.

Około godziny szóstej z wieczora, w chwili gdy słońce zapadało za pasmo gór siniejących na zachodzie, Harbert, który tam i sam przechadzał się po piaszczystem wybrzeżu, doniósł że Nab i Spilett wracają.

Niestety, powracali sami!... Harbertowi serce niewymownem ścisnęło się żalem. Marynarza nie omyliły przeczucia. Inżynier Cyrus Smith zginął bez wieści!

Korespondent nie mówiąc ani słowa usiadł na jednej ze skał. Omdlewając ze znużenia, umierając prawie z głodu, nie miał siły wyrzec jednego słowa!

Zaczerwione od płaczu oczy Naba i świeże łzy, których powstrzymać nie mógł, świadczyły zbyt wyraźnie że stracił wszelką nadzieję!

Korespondent opowiedział w krótkości przebieg ich poszukiwań za Cyrusem Smithem. Razem z Nabem zbiegli nadbrzeże wzdłuż na ośm mil, więc znacznie powyżej tego miejsca, gdzie nastąpił przedostatni spadek balonu, któremu towarzyszyło zniknięcie Cyrusa z psem jego Topem. Nadbrzeże było puste. Nigdzie śladu, nigdzie znaku żywej duszy. Nie znaleźli jednego kamyka świeżo poruszonego, ani śladu stopy ludzkiej na piasku, na całej tej przestrzeni nadbrzeżnej. Widocznie nigdy noga żadnego z mieszkańców tej ziemi nie postała w tej stronie wybrzeża. Morze było równie puste jak brzegi i w tem morzu na kilkaset stóp od ziemi, znalazł Cyrus Smith niezawodnie swój grób.

W tej chwili Nab zerwał się na nogi i głosem, ktory jasno świadczył o walce, jaką uczucie rozpaczy z uczuciem nadziei toczyło w jego piersi, zawołał:

— Nie! nie! On nie zginął! Nie, to być nie może! On! przenigdy! Ja! lub kto inny, co innego! ale on! nie nigdy! To człowiek, co zawsze da sobie radę!...

Po tych słowach opuściły go siły i słaniając się, szepnął:

— A! już nie mam sił!

Harbert przyskoczył do niego.

— Nab! zawołał chłopak, odszukamy go jeszcze! Bóg go nam zwróci! Ale teraz tyś głodny! Jedz, jedz trochę, proszę cię!

I mówiąc to podał biednemu murzynowi kilka garści ślimaków. Lichy i niedostateczny to był posiłek!

Nab od dawna nic nie miał w ustach, mimo to nie przyjął posiłku. Osierocony przez swojego pana nie mógł lub nie chciał żyć dłużej!

Gedeon Spilett zato połykał chciwie podane sobie mięczaki. Poczem położył się na piasku u podnóża skały. Osłabiony był i wycieńczony na siłach, ale spokojny.

Wtedy Harbert przystąpiwszy do niego, chwycił go za rękę, i rzekł:

— Kochany panie, wynaleźliśmy schronienie, gdzie panu wygodniej będzie niż tu. Oto noc się zbliża. Odpocznij pan sobie, a jutro zobaczymy...

Korespondent wstał i podążył za chłopakiem ku „dymnikom.“

W tej chwili przystąpił do niego Pencroff i tonem najnaturalniejszym w świecie zapytał go, czyli przypadkiem nie ma przy sobie zapałek.

Korespondent zatrzymał się, poszukał w kieszeniach i nie znalazłszy odparł:

— Miałem je przy sobie, lecz musiałem razem z innemi rzeczami wyrzucić w morze...

Marynarz zadał wówczas to samo pytanie Nabowi, i tę samą otrzymał odpowiedź.

— Tam do kroćset djabłów! zawołał, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

Korespondent usłyszał wykrzyknik i przybliżywszy się do Pencroffa, zapytał:

— Nie ma ani jednej zapałki?

— Ani jednej, a tem samem nie będzie ognia!

— Ach! gdyby pan mój był tutaj, zawołał Nab, on by na to poradził!

Czterej rozbitki stanęli jak wryci i popatrzyli po sobie z niepokojem. Harbert pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Spilett, rzekł, pan palisz i masz zawsze przy sobie zapałki! Możeś pan źle szukał? Poszukaj raz jeszcze! Jedna jedyna zapałka wystarczyłaby nam!

Korespondent przetrząsł na nowo wszystkie kieszene u spodni, u kamizelki, u surduta i u paltota, i wreszcie, ku wielkiej radości Pencroffa i własnemu zdumieniu, namacał mały kawałeczek drzewa zapchany za podszewkę kamizelki. Palce jego dotknęły tego kawałeczka przez sukno, lecz nie mogły go wydobyć. A ponieważ to była jedyna zapałka, jaką posiadali, chodziło więc o to, ażeby nie zetrzeć z niej ani odrobiny fosforu.

— Pozwól pan, ja się podejmę ją wydobyć, rzekł chłopiec.

I nader zręcznie, wyciągnął w całości zapałkę, to liche a tak kosztowne źdźbło drzewa, które dla tych biednych ludzi miało wartość nieocenioną. Zapałka była nienaruszoną.

— Mamy więc jedną zapałkę! zawołał Pencroff. To tak, jakbyśmy mieli cały magazyn!

Wziął zapałkę do ręki i wszyscy przybyli do „dymników.“

Ten mały kawałek drzewa, którym tak obojętnie szafuje się w krajach zamieszkałych, i który tam żadnej nie ma wartości, tu należało go spożytkować z jak największą ostrożnością. Marynarz przekonał się że był zupełnie suchy, poczem rzekł:

— Trzeba by papieru.

— Oto jest, odparł Gedeon Spilett, wydarłszy po chwili wahania jedną kartkę ze swoich notatek.

Pencroff wziął papier do ręki i przykucnął koło ogniska. Kilka garści ziół zeschłych, liści i mchu suchego wsunął pod polana, tak, ażeby powietrze miało wolny przeciąg i mogło szybko wzniecić drzewo w płomień.

Poczem Pencroff zwinął papier w trąbkę, jak to czynią ci, którzy palą fajkę w czasie silnego wiatru, i wsunął go pomiędzy mech. Wybrał następnie krzemyk trochę chropowaty, oczyścił go starannie i z sercem bijącem potarł oń zlekka zapałkę, zapierając w piersi oddech.

Pierwsze potarcie było bez skutku. Pencroff nie dość silnie przycisnął siarnik, obawiając się zetrzeć zeń fosfor.

— Nie, nie mogę, rzekł po chwili, ręka mi drży... Zapałka gotowa zgasnąć... nie, ja nie mogę, ja nie chcę! I podnosząc się rzekł do Harbesta, ażeby go zastąpił.

Chłopak pewnie w całem swem życiu nigdy tak nie był wzruszonym, jak teraz. Serce mu biło gwałtownie. Prometeusz, kiedy szedł wykraść ogień z nieba, nie musiał silniejszego doznawać wrażenia! Lecz nie wahając się długo, potarł nagle zapałkę o krzemień. Dało się słyszeć naprzód lekkie pryśnięcie, poczem zamigotał mały niebieskawy płomyczek, wydając ze siebie siarczysty dym. Harbert zwolna odwrócił zapałkę trzonkiem do góry, ażeby podsycić płomień i wsunął ją w trąbkę papierową. Papier zajął się w kilku sekundach i w tej samej chwili mech buchnął płomieniem.

W kilka minut później dał się słyszeć trzask suchego drzewa i wesoły płomień, poddmuchiwany gorliwie przez marynarza, oświetlił ponurą ciemność.

— Wygrana! — zawołał Pencroff wstając ze ziemi — nigdy w życiu nie doznałem takiego wzruszenia!

Ognisko było widocznie dobrze urządzone z płyt kamiennych. Dym z łatwością ulatywał przez górny otwór, ciąg był dostateczny a wkrótce dało się czuć przyjemne, ożywcze ciepło.

Co do ognia, należało nie dać mu nigdy wygasnąć zupełnie i zawsze pod popiołem przechować trochę żaru. Zresztą była to tylko kwestja pilności i uwagi. Drzewa bowiem było dość i w każdym czasie można było zapas powiększyć.

Pencroff zamierzał przedewszystkiem w ten sposób spożytkować ogień, ażeby ugotować wieczerzę posilniejszą od mdłych l i t o d o m ó w. Harbert przyniósł dwa tuziny jaj. Korespondent siedząc w kącie przypatrywał się w milczeniu tym przygotowaniom. W głowie jego potrójna wirowała myśl. Czy Cyrus żyje jeszcze? Jeżeli żyje, gdzie się znajduje? Jeśli ocalał, jak wytłumaczyć, że dotychczas nie dał nic znać o sobie? Co się tyczy Naba, ten błąkał się po wybrzeżu. Było to ciało bez duszy.

Pencroff znał pięćdziesiąt dwa sposoby przyrządzania jaj, lecz w tej chwili nie miał pomiędzy niemi żadnego wyboru. Włożył więc jaja w popiół gorący i czekał, dopóki nie stwardnieją na wolnym ogniu.

W kilku minutach jaja były gotowe i marynarz zaprosił korespondenta do wieczerzy. Była to pierwsza wieczerza naszych rozbitków na tej nieznanej ziemi! Jaja były wyborne, a ponieważ jajo posiada wszystkie pierwiastki niezbędne do pożywienia ludzkiego, więc biedacy czuli się niem znacznie pokrzepionymi na siłach.

Ach! gdyby nie to, że jednego z nich brakło przy tej wieczerzy! Gdyby wszyscy pięciu, tak jak się wydostali z murów Richmondu, znaleźli się byli tutaj razem, pod tem sklepieniem ze skał, przy tem jasnem, wesołym ognisku, na suchym piasku, możeby tylko słowa gorącego dziękczynienia mieli dla Stwórcy! Lecz najgienjalniejszy, najuczeńszy z nich, ich przywódzca Cyrus Smith został im niestety wydarty! a ciało jego zostało bez pogrzebu, bez ostatniej nawet przysługi!

Tak minął ów dzień 25. marca. Na dworze wiatr świszczał i słychać było jednostajnie łamanie się fal morskich o brzegi. Krzemienie nadbrzeżne tam i nazad miotane falami toczyły się z zagłuszającym łoskotem.

Korespondent wcisnął się w ciemny kąt jednego z kurytarzy, spisawszy poprzednio w krótkości zdarzenia ubiegłego dnia: pierwsze zjawienie się nowego lądu, stratę inżyniera, przegląd wybrzeża, wypadek z zapałkami itd. Poczem znużenie sprowadziło ożywczy sen na jego powieki.

Harbert usnął także niebawem. Marynarz, śpiąc jednem okiem, a drugiem czuwając, przepędził całą noc przy ognisku, dokładając doń ustawicznie świeżego drzewa. Jeden tylko z rozbitków nie szukał odpoczynku w „dymnikach.“ Był nim zrozpaczony, niepocieszony Nab, który głuchy na namowy towarzyszy doradzających mu kilka godzin spoczynku, całą noc błąkał się po wybrzeżu, wołając wciąż pana swojego.

(C. d. n.)

MOJA ŁÓDKA

(Ma nacelle)

naśladowane z Beranger'a.

Po żywota mętnej fali
Podmuchami losu gnana,
Ku nieznanej gdzieś oddali,
Płyń ma łódko w imię Pana.
Czy ci przystań poznać gładką
Czy w otchłani, los zagadką,
Bóg ci koniec da —
Co tam! Póki słońce świeci
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! Płyń łódko ma!

Znoić czoło czyliż warto?
Czyliż warto, mówcie sami,
Z losem walkę wieść zażartą,
Gdy śmierć może tuż przed nami?
Niż o byt ten dbać bez treści,
Co tak mało szczęścia mieści
I tak krótko trwa;
Lepiej, póki słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! Płyń łódko ma!

Towarzyszy nam w podróży
Mych piosneczek muza młoda;
Kiedy niebo się zachmurzy
Ona nam odwagi doda;
Kołysani jej dźwiękami,
Przesuniem się nad falami,
Niedotknąwszy dna;
Niebo jasne, słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! płyń łódko ma!

Winnicami, tam, na brzegu,
Ku nam wdzięczy się dolina;
Łódko moja! Zwolnij w biegu!
Weźmiem z sobą zapas wina!
Kiedy pełny dzban wychylę,
Krew mi raźniej zadrga w żyle
W oku błyśnie skra.
Potem dalej! Słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrym leci...
Eh! płyń łódko ma!

A tam znowu gdzie ta strzecha
Pochylona nad falami,
Młode dziewczę się uśmiecha,
Śpiesz dziewczyno! W podróż z nami!
Usta nasze całus sklei,
Z każdym trunkiem po kolei
Zapoznać się trza!
I znów dalej słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! Płyń łódko ma!

Tak wciąż świeże plotąc wianki,
Gdy już próżny, gdy już licha
Rzucać kielich dla kochanki,
A kochankę, dla kielicha —
Z wiosną, z piosnką, i z dziewczyną —
Nie znać nigdy co złe wino,
Co troski, co łza,
To mi żywot! Słońce świeci,
Biały żagiel z wiatrem leci...
Eh! płyń łódko ma!

Paryż d. 10 Marca 1875. *J. S. Chamiec.*

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

ROZDZIAŁ V.

(Ciąg dalszy.)

Literatura powieściowa wszystkich narodów cywilizowanych zolbrzymiała już tak w naszych czasach, a tak zawzięcie i przeważnie zajmowała się i zajmuje wszech tronną zewnętrzną i wewnętrzną analizą jednego i tego samego uczucia, że musiałbym powtórzyć historję kilku tysięcy różnych bohaterek, znaną już dostatecznie wszystkim moim czytelnikom, gdybym chciał opowiadać, co się działo w głowie i w sercu Helenki. Niedyskrecja państwa Skryptowiczów, wywlekając na jaw dokument tak poufny, jak dziennik ich pupilki, wybawiła mię po części z tego kłopotu. Dowiedzieliśmy się najpierw z tego pisma, że inaczej być nie mogło, i że Helenka musiała zakochać się w Wacławie, tak jak musiała parę lat przedtem, przebyć odrę i koklusz, i jak podróżni wracając z Duwru do Calais przebywać muszą chorobę morską, podczas gdy ci, którzy ich wyprzedzili i mają od kilku dni stały ląd pod nogami, dziwią się ich nieszczęśliwym minom i spojrzeniom błagającym o litość. Ci ostatni zapomnieli już o s w o j e j podróży, i nie mogą pojąć, jak można upadać na duchu i czuć się bliskim śmierci z powodu, iż okręt kołysze się nieco? Nikt jeszcze nie umarł na chorobę morską, i nikt nie umarł z miłości, a jakkolwiek porównanie dwóch tak różnych rzeczy z sobą może jest nieco zbyt niewłaściwem i trywialnem, ośmielam się ciągnąć je dalej i twierdzić, że nawet w skutkach jest podobieństwo między obydwiema chorobami. Morska, gdy się ją przebędzie, oddziaływa nader zbawiennie na organizm fizyczny, wszystkie katary żołądka giną od niej, jak ręką odjął, pacjent nabiera niesłychanego apetytu, doskonałej dygestji, świeżej cery i dobrego humoru. Dla tego to, prawdopodobnie, zapomina on tak łatwo o dolegliwościach podróży okrętowej i śmieje się niemiłosiernie

z nowicjuszów, wybladłych, przedstawiających obraz nędzy i pognębienia największego. To samo dzieje się z miłością. Cierpienie to, przebyte *lege artis*, sprowadza pewną równowagę między głową a sercem, pewien nawet, że tak powiem, „dobry apetyt moralny.“ Wykochawszy się bowiem, człowiek chętniej i żywiej przyjmuje wrażenia zewnętrzne, przetrawia je gruntowniej i ocenia z tą swobodą umysłu, na której polega dobry humor; z najzupełniejszą zaś zimną krwią spogląda na tych, którzy jeszcze nie przecierpieli. I jak są natury tak twarde, że nie dostają mdłości wśród najsroższej walki żywiołów, natury jak gdyby umyślnie stworzone do zatapiania statków nieprzyjacielskich, do wysadzania ich w powietrze itd. tak i na lądzie są istoty z góry zabezpieczone od cierpień, które poważyłem się wprowadzić w paralelę z chorobą morską. Istot takich wszelako nie podobna szukać między szesnastoletniemi pannami, wychowanemi zwłaszcza tak, jak się wychowała Helenka w domu, w którym znalazła macierzyńską opiekę.

Nie było to wychowanie, w pewnem znaczeniu, modne, chociaż odstępowało znacznie od dawniejszych tradycyj „fortepianu, kadryla i francuszczyzny.“ Wiemy już z rozmowy państwa Skryptowiczów, że panny w ich domu uczyły się wiele i systematycznie, co zresztą Bogu dzięki, w ostatnich czasach dość weszło w modę. Oprócz tego czytywały także dużo, po części wprawdzie to, co im w ręce wpadło, po części jednakowoż i to, co im podsuwał p. Skryptowicz. Przytem tańczyły, stroiły się, i mogę zapewnić, że najprzyjemniejszej u kobiet wady, tj. pewnej próżności, Helenka posiadała tyle, ile jej koniecznie potrzeba panience i kobiecie. Ale próżność ta niejednakową bywa i w środkach, któremi się posługuje, i w celach, do których zmierza. Jednej potrzeba koronek i jedwabiów, pereł i złota, ażeby zaćmić wszystko na około siebie, pobudzić wszystkie kobiety do żółtej zazdrości, a wszystkich mężczyzn do bladej rozpaczy. Inna kontentuje się każdą świeżą i dobrze skrojoną sukienką, a zabójcza wykwintność w tym kierunku nie jest bynajmniej szczytem jej marzeń. Lubi i chce podobać się zawsze i wszystkim, ale nie upatruje szczęścia w tem, by z rówieśniczek żadna mierzyć się z nią nie mogła, i by ją otaczał dwór złożony z dręczonych i gnębionych niewolników płci męzkiej. Być może, że jej miło zwracać na siebie w wysokim stopniu uwagę tej płci, stworzonej do służalstwa, ale nie wyzyskuje swojej przewagi, by mogła, jak laska laku potarta wełną, podług swej woli przyciągać i odpychać figurki z jądra bzu białego, tego obrzednio-szpikowego kolegi dębów. Marzeniem jej jest znaleźć jednego niewolnika, módz go podręczyć trochę, a potem oddać mu się na całe życie, i dać mu się nawet tyranizować, chociażby był tak krótkim i podsadkowatym, tak na przemian wybuchającym i apatycznym, jak p. Skryptowicz, i chociażby miał tak jak on na głowie parę morgów łysiny, z wielkim u samego szczytu bąblem na kształt samotnego pagórka wśród pustyni. Zapomniałem powiedzieć, że głowa p. Skryptowicza ozdobioną była w ten sposób, i że przyjaciele jego przypisywali tę wypukłość frenologiczną wulkanicznemu działaniu myśli pana Karola, które gromadząc się a nie mogąc znaleźć wyjścia podczas długich dni, jakie przepędzał w objęciach Morfeusza, tędy l u f c i k sobie zrobiły. A mimo to, pani Leokadja kochała swego męża, znosiła cierpliwie wszystkie jego humory, truchlała z obawy o niego, gdy zakaszlał albo skarżył się na ból głowy, i rozczulała się nad jego dobrocią, jeżeli czasem przypomniał sobie, że żonie potrzeba trzewików albo kapelusza. Jest to już wielką zagadką stworzenia, że istnieją kobiety tego rodzaju, ale jeszcze większą zagadką jest, że są panny, które patrzą na to wszystko, i w skrytości serca, życzą sobie podobnego losu. A jednak — są, tylko oczywiście i c h Skryptowicz musi być pięknym jak Antinous, a dobrym, jak anioł, przynajmniej w ich wyobrażeniu — jednem słowem, musi wyglądać jak Wacław Roliński, a życie z nim, zdaniem Helenki, nawet w nędzy, nawet gdyby wiecznie spał i gderał, byłoby rajem. Ale on nie spałby—o nie, a gdyby gderał, Helenka położyłaby mu głowę na piersi i słuchałaby go z rozkoszą. On miał głos tak przyjemny, a kiedy był rozdrażnionym lub podniesionym, mówił tak pięknie, i takie szlachetne, takie wzniosłe myśli z ust mu wychodziły!

To, co tutaj opowiadam, i wiele innych rzeczy, niechaj łaskawy czytelnik uważa jako streszczenie i parafrazę myśli i zapisków Helenki, które wpadły w ręce p. Skryptowiczowej i podsunięte jej były napowrót w szufladkę, z której wypadły z powodu, iż była szpara w denku, a one ukrywały się na spodzie, pod wszystkiemi innemi kajetami, rysunkami i książkami. Pani Skryptowiczowa nie mówiła nic Helenie, całowała ją tylko i tuliła do siebie, a córki jej wiedziały o wszystkiem, i w długich szeptach wieczornych konferowały z naszą bohaterką o każdem drobnem zdarzeniu, odnoszącem się do jej tajemnicy. Frania i Adelcia myślały już nawet o tem, w jakich sukienkach wystąpią, gdy będą drużkami Helenki, ale jej tego nie mówiły, bo Helenka nie chciała się łudzić i była pewną, o, zupełnie, rozpaczliwie pewną, że Wacław jej nie kocha, i rozpłakała się raz gorzko, gdy dziewczęta zaczęły układać plany na przyszłość. Daremnie udzielały jej różnych spostrzeżeń, zrobionych bystrem, panieńskiem oczkiem, z których wynikało jak dwa a dwa cztery, że Wacław bynajmniej nie jest obojętnym dla niej. Lubił z nią rozmawiać, był wesół, kiedy była w pokoju, smutny i roztargniony, kiedy jej nie było, zwracał się zawsze do niej, jeżeli miał powiedzieć coś, co mu szło prosto z serca. Cóż z tego? Ona zaledwie miała odwagę, mówić z nim swobodnie, rumieniła się, ilekroć jakie uczucie mimo jej woli ubrało się w słowa i wygłosiło się w jego obecności. Serce jej tak biło, gdy nadchodził, tak była bliską zemdlenia, gdy go spotkała przypadkiem, a myśleć i mówić o nim mogła tylko, gdy go nie było! I on byłby takim, gdyby ją kochał. Ale przeciwnie, on rozmawiał z nią swobodnie, i swobodnie podawał jej rękę na przechadzce! Helenka nie wiedziała, że Frania i Adelcia manewrowały zawsze tak, aby Wacław musiał jej podać ramię, i nie wiedziała, że roskoszny dreszcz, który ją wówczas przejmował, mógł w silniejszym organizmie męskim nie objawiać się zakłopotaniem, i pół-omdleniem, i szalonym, wirowym tańcem drzew, ludzi i kamieni naokoło jednej biednej, pięknej, rozmarzonej główki! Było więc jasnem, że Wacław.... ach, serce jej pękało już, i bez niego myśleć nie mogła o nim!

Aż tu, nazajutrz po owem odkryciu rysunku, przedstawiającego chłopczyka niesionego przez aniołów, i jednego anioła mianowicie, szczególnie kompromitującego anioła, zaszedł wypadek nieprzewidziany, niesłychanie ważny. Po lekcji, Wacław prosił Helenkę z miną wcale obojętną, ażeby mu dała ten rysunek, bo — chciałby go nieco poprawić. Oczywista rzecz, iż zarumieniła się, jak tylko można zarumienić się, mając lat szesnaście, i twarz jakby jaką idealną brzoskwinię, niezmiernie bladego koloru i o niezmiernie delikatnym, aksamitnym puchu. Był to jeszcze jeden z tych rumieńców, których tradycja ginie powoli, i które okrywały twarz, szyję, łono, i przeszkadzały widzieć i słyszeć. Nie mogła i nie chciała mu dać rysunku, wszak całą noc płakała z powodu, iż go zobaczył, i rozpaczała nad tem, co on sobie pomyśli. Więc zaczął prosić coraz miększym głosem, i Frania i Adelcia poczęły wstawiać się za nim, i spoglądać tryumfująco jedna na drugą, i Helenka — nie dała rysunku. Więc Frania i Adelcia zaczęły się krzątać około czegoś, w drugim pokoju, a Helenka stała koło swojego biurka, i miała oczy spuszczone, i nie wiedziała sama, co jej jest takiego, ale wiedziała, że niezadługo zacznie płakać, czemu chciała zapobiedz, zaciskając usteczka do krwi prawie. Wówczas on zbliżył się do niej, i raz jeszcze, cichym głosem, poprosił o rysunek, i zwyciężył, poczem, jako obrzydliwy bałamut i zdrajca, pocałował ją w rączkę, i pocałował papier w tem miejscu, gdzie profil anioła pochylony był nad chłopczykiem. I nic więcej się nie stało — przynajmniej Helenka nie pamiętała już nic więcej, chyba tyle, że Frania i Adelcia były w szalenie wesołym humorze, i śmiały się jak dwa pustaki, ściskając ją, i całując, i porywając ją w wir różnych niemożliwych tańców po pokoju, ku wielkiemu zaburzeniu porządku i spokoju prywatnego wszystkich mebli i sprzętów. Nic więcej się nie stało, a jednak, stało się tak wiele!

Ale był człowiek, który już dawno przebył chorobę morską, tak dawno, że nie uznawał jej wcale i miał wielką ochotę odmówić jej prawa do egzystencji. Tym człowiekiem był p. Skryptowicz, który kochał Helenkę po swojemu. Nie znał bliżej Wacława, a wiedział, jak łatwo dziewczęta szaleją dla ludzi najmniej godnych ich serca. Na wszelki wypadek zdawało mu się, może nie bez słuszności, że dwie godziny lekcyj codziennie, przechadzka i herbata, przechodzą miarę czasu, jaką się zwykło udzielać młodym ludziom, jeżeli jedno z nich jest zakochanem, lub oboje, do utwierdzania się w tem uczuciu. P. Skryptowicz powziął tedy postanowienie, rozmówić się z Wacławem, starać się poznać go, wybadać, i nie zabronić mu wcale kochania się w Helenie, jeżeliby czuł skłonność ku temu, ale zmniejszyć nieco liczbę jego wizyt i zrobić je ile możności nie codziennemi. W tym celu p. Karol w parę dni po owem nadzwyczajnem, powyżej opisanem zdarzeniu, po którem obydwie strony nie mogły przyjść do siebie, jedna z radości, iż proszono o rysunek i wzięto go — w ten sposób: — a druga z radości, iż go dano, towarzysząc temu aktowi spojrzeniem, jakiem sarna błaga myśliwca: Nie dobijaj mnie! — p. Skryptowicz tedy, jednego poranku, wyspawszy się należycie, pojawił się w pomieszkaniu Wacława. Był to schludny pokoik, w którym wszystko świadczyło, iż mieszkaniec jego kocha porządek, naukę, i pannę Helenę Grodecką, bo ponad książkami, papierami, rysunkami, ponad systematycznie ustawionemi sprzętami i ponad dziwnie, jak na kawalera, porządnie zaścielonem łóżkiem, słowem, ponad systematycznością i nauką, królowała na ścianie za szkłem i w ramach, fotografja, nie potrzebuję mówić czyja, a tak wielkich rozmiarów, że można ją było nosić w sercu, ale nie na sercu, zważywszy, iż była naturalnej wielkości.

— Piękne rzeczy — pomyślał sobie p. Karol. — Wszak kazałem je wszystkie fotografować, to prawda, ale w formacie gabinetowym; panicz widocznie sam postarał się o jedną kopję w tych rozmiarach, i zawiesił ją sobie w pokoju, azeby się chwalić przed kolegami. Nie lubię tego, nie lubię. Dzień dobry panu, panie Roliński, — dodał głośno. — Dziwi to pana, jak widzę, oglądać mię o tej porze? Niech się pan uspokoi, koniec świata jeszcze daleko, a ja pójdę spać po południu. Pracuję, piszę zwykle w nocy, a w dzień spoczywam. Nie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że mój sposób życia nie zgadza się z naturalnym porządkiem rzeczy. Gdyby ludzie mieli kolejno wstawać rano, a kłaść się wieczór, nie byłoby na ziemi okolic zamieszkanych, w których dzień i noc trwają po trzy miesiące. Zresztą, kto wie, czy na biegunie północnym nie ma jakiego lądu zaludnionego, ze znośnym klimatem, a tam przecież dzień i noc trwają po pół roku. Nakoniec, właśnie o tym czasie, o którym ja udaję się do snu, słońce zachodzi w San Francisco i w Honolulu. Rozszerzenie wiadomości jeograficznych rozwiało wiele przesądów. Gdyby Kopernik żył za naszych czasów, i gdyby widział na własne oczy, że pod 75 stopniem północnej szerokości słońce zamiast wschodzić i zachodzić, kręci się w kółko po niebie całemi tygodniami, a potem niknie na długo, nie miałby najmniejszej zasługi dowodząc, że słońce nie biega na około ziemi co dwadzieścia cztery godzin. Pan, jak widzę, przygotowujesz się do egzaminów?

— Już je zdałem, niestety — teraz potrzebaby pomyśleć o dalszem wykształceniu się w moim zawodzie. Muszę wyjechać za granicę, dodał Wacław z westchnieniem.

— Oczywiście, u nas z kilkudziesięciu katedr w kraju wykładają, że przodkowie Indjan i Murzynów, którzy nic nie wiedzieli o przyjściu Zbawiciela przed przyjściem Kolumba i Vasco de Gamy, za tę karygodną ignorancję swoją smażą się w piekle, podczas gdy Torrequemada i Arbuez poszli prosto do nieba — ale za to nie mamy ani jednej katedry technologji chemicznej. Pan zajmujesz się specjalnie chemją?

— Nie wyłącznie, chociaż mam szczególne zamiłowanie w tej umiejętności. U nas trudnoby znaleźć kawałek chleba, nie zajmując się niczem więcej. Prawdopodobnie będę musiał zostać inżynierem dróg i mostów.

— Zrobić majątek na jakiem przedsiębiorstwie, i ożenić się, co? — dodał p. Karol, spoglądając z pod oka na fotografję Helenki, podczas gdy Wacław ruszał się niespokojnie na krześle i nic nie odpowiadał. — Panie Wacławie, ciągnął dalej p. Skryptowicz, przyszedłem pomówić z panem o pewnej, nader drażliwej materji.

— Jestem na usługi, odparł Wacław, który, nawiasem mówiąc, nie był wielbicielem p. Skryptowicza, uważając go za nieznośnego gościa, próżniaka i dziwaka. P. Karol w tej chwili przypomniał sobie, że miał sobie w domu ułożyć całą perorę, ale że zaniedbał to uczynić. Ponieważ zaś po uroczystej zapowiedzi, iż będzie mówił, nie przyszło mu na myśl, od czego ma zacząć, więc zaczął od pierwszego lepszego przedmiotu.

— Widzę tu u pana fotografję — fotografję mojej pupilki. Czy sama dała ją panu?

Wacław zaczerwienił się i wyjąkał prawie:

— Nie... to jest... panna Helena pozwoliła, bym wziął jeden egzemplarz, gdy odbierałem kopje od fotografa, a ja... kazałem mu odbić ją za pomocą aparatu powiększającego... Tamte fotografje wypadły tak źle...

— Ta jest wcale niezłą, ale czy nie zgadzasz się pan ze mną, że to format cokolwiek niewygodny? Kto bądź bywa u pana...

Wacław zczerwienił się jeszcze mocniej, ale tym razem już nie z zakłopotania.

— Zaręczam panu dobrodziejowi, rzekł stanowczo, że „ktobądź“ u mnie nie bywa. Mam tylko takich przyjaciół, którzyby nie śmieli czynić żadnych niewłaściwych wniosków z tego, iż posiadam tę fotografję, a oprócz nich, nikt nie bywa u mnie.

— Pomimo to, mogłoby się zdarzyć... Ale, ta okoliczność prowadzi mię wprost do przedmiotu, o którym chciałem mówić z panem. Pan wiesz, że jestem opiekunem Heleny, która nie ma rodziny?

— Przyszedł robić mi wyrzuty, i wypowiedzieć mi dom, — pomyślał sobie Wacław. — Nieznośny safandula! myślał dalej. I... i nie ustąpię mu ani kroku, zakonkludował w duchu. — Wiem, panie dobrodzieju, rzekł głośno, że pan dobrodziej jesteś opiekunem panny Heleny, i wiem, że panna Helena nie ma rodziny.

Z ludźmi, którzy mają zwyczaj wyrzucać czasem talerz z rosołem na podwórze, zamiast jeść obiad, można trafić do końca, jeżeli są w pewnym humorze, a w innych chwilach, można ich podrażnić czembądź, tonem, układem słów, jednym giestem. Od chwili, gdy Wacław pomyślał sobie, że Skryptowicz jest „safandułą“, któremu nie ustąpi ani kroku, i gdy w skutek tego przybrał postawę hardą i stanowczą, p. Karol patrzył na niego ostro i z nieukontentowaniem, rozważał w duchu, że jest to impertynent, arogant, któremu należało przytrzeć rogów.

— Jestem opiekunem Helenki, powtórzył, a ponieważ dziewczyna jest już w wieku, w którymby mogła pójść zamąż, i w którym potrzeba zwracać szczególną baczność na skłonności, jakie się w niej wyrabiają, a przytem i na pewne światowe względy i formy ogólnie przyjęte, więc... więc powiem panu wprost, że spostrzegłem... to jest, że pan — i tu p. Skryptowicz, chcąc perorze swojej nadać cechę dobroduszności, wypalił: — że pan bałamucisz mi panienkę.

— Panie dobrodzieju, odparł Wacław żywo i prostując się — nie dałem panu niczem powodu do czynienia mi podobnego zarzutu, chyba mojemi myślami i uczuciami, ale z tych nie potrzebuję i nie zamierzam zdawać sprawy nikomu. Jestem ubogim sierotą, i póki nie będę miał zapewnionej egzystencji, póty nie będę śmiał zdradzić przed panną Heleną ani jednem słowem moich ambitnych zamiarów. Jeżeli kiedy będę mógł prosić ją o wzajemność, i znaleźć łaskę w jej oczach, będę szczęśliwym, ale wyraz, którego pan dobrodziej użyłeś, był... był niewłaściwym, panie dobrodzieju. Panna Helena nie da się bałamucić, mój panie, a ja nie jestem ten, któryby śmiał łączyć wzmiankę o bałamuceniu z jej imieniem, mój panie! Wszystkie uwagi pańskie były nie... tak, były zbytecznemi, mój panie!

— Mój panie, zapominasz pan, że jestem opiekunem Heleny.

— Zbyt często już powtórzyłeś pan to słowo, przypominające, że pan jesteś oraz jej dobrodziejem. Dobrodziejstwo i opieka, mój panie, nie uprawniają pana do używania lekkomyślnych wyrazów, a nie sądzę, by przystało chełpić się tem, co się zrobiło dla sieroty. I ja mam opiekuna, mój panie, któremu zawdzięczam wszystko, ale ten nie daje mi czuć tak boleśnie, że jest moim dobroczyńcą.

— E, mój panie, co mi pan tu będziesz dawał lekcje! Ja panu mówiłem, że jestem opiekunem Heleny, a nie jej dobrodziejem. Helenka nie potrzebuje moich dobrodziejstw, bo ma pięćdziesiąt tysięcy posagu, a prawdopodobnie będzie kiedyś najbogatszą dziedziczką w kraju, i jej mąż będzie panem na Rymiszowie, a będąc z tamtych stron, zrozumiesz pan, co to znaczy. Z kapitałami sześćdziesiąt tysięcy dochodu, jak „obszył.“ Jeżeli zajmuję się jej losem, to dla tego, że jest córką mojej siostry, a jeżeli pana to irytuje, to uwalniam pana od mojej obecności, i sądzę, że pan nie zechcesz mi narzucać swojej, mój panie!

Wacław zbladł był wśród tej filipiki, wygłoszonej przez p. Skryptowicza głosem i tonem, jakiego żaden śmiertelnik nie słyszał z jego ust, wyjąwszy panią Leokadję, która wsłuchiwała się w te lube akcenta, ile razy rosół był przesolony lub zwarzyła się śmietanka. Nie słyszał nawet wyraźnego wypowiedzenia wojny, na którem przestał p. Karol, i zawołał tylko na pół w zdumieniu, a na pół w rozpaczy:

— Panna Helena ma majątek!

Po chwili przyszedł do siebie, spostrzegł, że p. Karol wziął był kapelusz i wychodził z pokoju, skłonił mu się i rzekł złamanym głosem:

— Przepraszam pana za moje porywcze słowa; nie wiedziałem, że panna Helena jest posażną dziedziczką. Od tej chwili, daję panu słowo noga moja nie postanie więcej w domu pańskim. Dziękuję panu za wiadomość i za ostrzeżenie.

P. Karol wyszedł, i nie lekko zamknął drzwi za sobą. Przez kurytarz przeszedł szybkim krokiem, i z tak zawziętą miną, że przestraszył parę kucharek i pokojówek, które go spotkały. Na pierwszej połowie schodów irytował się jeszcze mocno, ale już mniej, a na drugiej, począł rozmyślać. Gdy już był na dole, zatrzymał się i nie mógł wyjść na ulicę.

— Nie, to biedny chłopiec, a wcale przyzwoity i z sercem. Nie pojmuję, czego się tak uniosłem?

I gniewając się na siebie, na schody, i na ciemną kamienicę, p. Karol wrócił się na górę. Zastał Wacława, siedzącego przy stoliku, opartego na łokciach, z twarzą schowaną w dłonie i oczyma zasłoniętemi. P. Karol miał wzrok bystry, a jeżeli nie wpadł w pasję, był trochę psychologiem. I domyślił się więc, i spostrzegł od razu, że Wacław płakał. Fotografji nie było już na ścianie, troskliwie zawinięta w papier, spoczywała w szafie.

— Panie Wacławie, rzekł p. Skryptowicz wyciągając rękę ku młodemu człowiekowi, ludzie porywczy mogą się gniewać, ale nie trudne między nimi porozumienie. Nie zrozumiałeś pan, z czem tu przyszedłem, i nie miałem czasu wytłumaczyć się panu wyraźniej. Przez myśl mi nie przeszło, sprzeciwiać się uczuciom i zamiarom, jakie pan możesz mieć względem Helenki. Owszem poznawszy pana bliżej, rad jestem, że tak dobrze trafiła. A trafiła, bo wiem, że wcale nie jest obojętną dla pana. Chciałem tylko wybadać, jak daleko zaszedł stosunek między wami, a na wszelki wypadek, odwołując się do pańskiego uczucia honoru, i w najlepszej zgodzie z panem, ułożyć, jak często wypadałoby wam widywać się. Ja co do mojej osoby nie jestem niewolnikiem względów światowych, i nie dbam o nie, ale nie mam prawa rozciągać mojego indyferentyzmu na młode osoby, które mi są powierzone. Podaj mi pan

rękę, i niechaj będzie zgoda między nami, a przedewszystkiem, przyjm pan oświadczenie, że musisz pan bywać u mnie, albo... albo do kroćset tysięcy Kupidynów, wyzwę pana i zastrzelę.

Wacław potajemnie otarł oczy i podniósłszy się, z gorzkim uśmiechem podał dłoń p. Karolowi.

— Jakżeż? rzekł ten ostatni. Będziesz pan u nas na herbacie, dwa razy na tydzień? Przyjdziesz pan dzisiaj?

— Nie, panie dobrodzieju, odpowiedział Wacław spokojnie, cicho i stanowczo. Nie przyjdę więcej. Miljonowa przepaść, o której nie wiedziałem, dzieli mię od panny Heleny. Teraz, potrafję może jeszcze zagłuszyć się i wybić sobie z głowy to, co w niej nigdy postać nie było powinno. Dalej, byłoby za późno.

— Moja żona powiedziałaby panu, że według pańskich teoryj, każda posażna dziedziczka powinna zostać starą panną, jeżeli się w niej nie zakocha jaki miljoner. To niema sensu. Helenka sprzyja panu, o ile mi wiadomo, a wiadomo mi bardzo dobrze, sprzyja panu szczerze i gorąco. Porzuć pan te skrupuły, to nie ma sensu.

— Panna Helena zapomni mnie z łatwością, a ja nie zapomnę nigdy, com winien jej i sobie. Dziękuję panu za pańską dobroć, na którą zaiste, postępowaniem mojem nie zasłużyłem. Mam hardą, nieugiętą, ruską naturę. Ojciec mój był księdzem na Rusi, a dziad jednym z ostatnich, ukraińskich kozaków. To niechaj tłumaczy moje usposobienie. Jeszcze raz dziękuję panu.

Wszystkie namowy p. Karola były daremnemi. Tego samego dnia, Wacław spakował się i pojechał do Rymiszowa, do swojego opiekuna, ks. Chyżyckiego. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA
Dr. KAROLA LIBELTA.

(Dokończenie.)

„Epos“ to „opowieść poetyczna o minionych wielkich czasach“ (str. 586). Słusznie autor dzieli epos, na „starożytny“, „średniowieczny“ i „nowoczesny“. Charakter epopeji tych trzech perjodów czasu zupełnie od siebie różny. Bohaterskość starożytna, to nie rycerskość średniowieczna, ni wojskowość nowoczesna. W epopeji greckiej i rzymskiej, rządzi nieubłagane „fatum“, jako konieczność, czyli rozum najwyższy. Bogowie opiekują się ludami i bohaterami; a bohaterowie sami, tą opieką wsparci, są półbogami na ziemi, zdobywającymi sobie nieśmiertelność boską. Rycerz średniowieczny chce zostać wiernym sługą kościoła i gorliwym obrońcą Zbawiciela świata. Dziś on rozpustuje rozbija, jutro posypuje głowę popiołem, pości i modli się. Czem było fatum, tem teraz klątwa kościelna i rządy Ojca Ś. Boga-rodzica podniosła do ideału znaczenie niewiasty. Rycerz walczy w jej obronie i z rąk jej odbiera nagrodę. Ale najazdy i rzezie, tortury i sądy boże, śmierć głodowa w lochach i zamurowywanie żywcem, zgoła awanturnictwo, są na porządku dziennym. Nowsze czasy zdobyć się na epopeję nie są zdolne, bo w miejsce fantazji i poezji, zapanowały rozum i proza. W miejsce epopeji powstały „pienia bohaterskie“, „powieści bohaterskie“ i „romanse“.

Tu kończy się kallizofja, cudnemi pomysłami, nieraz uroczym stylem błyszcząca, ale pod względem estetycznego układu wielekroć naciągana, a z powodu opuszczenia sztuk społecznych nieraz wadliwa. Ztąd poszło, że inne estetyczne pojęcia, jak: „dowcip“, „ironja“, „trawestacja“, „parodja“, „kontrast“, „patos“, „smak“ itp. tylko mimochodem zostały potrącone i objaśnione.

„Prototypika“ jest ostatnią estetyki dzielnicą. Chodzi tu nie „co“ tworzyć, ale „jak“ tworzyć. Przechodzimy więc na osobistość artysty, i na zapatrywania narodu i wieku, w którym żyje. Gdy przedmiot sztuki i piękności jest spokojny, to osobiste zapatrywanie wywołać musi spór. Jakoż na tem polu pokazują się antynomje estetyczne, jak „klasyczność“ i „romantyczność“, „plastyczność“ i „eteryczność“, „serdeczność“ i „humorystyczność“. Starożytność, mianowicie grecka, pozostawiła nam „pierwowzory“ wszelakiej sztuki, na których kształciły się w artyzmie następne wieki. Ztąd nazwa „propedeutyki“. Charakter tych sztuk przedewszystkiem „klasycznym“ nazwany. Gdy szczytny ten charakter przez naśladownictwo podleć i upadać zaczął, gdy chrześcijaństwo, a z niem nowoczesność przesiąkły więcej w ludy i w społeczeństwo, powstało najprzód u romańskich ludów (ztąd romantyzm) odrodzenie się sztuk i literatury na „duchowym“, a więc swobodniejszym pierwiastku.

Z tego wypada, że pominiona antynomia jest raczej wynikiem czasu, niż osobistego usposobienia artysty. Było rzeczą naturalną, że romantyczność najprzód rozwinąć się musiała we Włoszech i Francji, że rozszerzyła się potem w akatolickiej Anglji i w protestanckich Niemczech, i że dopiero przez Mickiewicza objawiła się Polakom. Tylko genjusze podnieść ją mogły i nadać jej panowanie. Ale ich pomysły artystyczne wypowiadały tylko kierunek panujący wieku, który w jednym narodzie prędzej, w drugim później przyszedł do świadomości siebie.

To samo powiedzieć trzeba o „plastyczności“ i „symboliczności“, którą Trentowski „eterycznością“ nazywa. Mimo przeciwnego zdania autora, plastyczność pozostanie zawsze znamieniem klasyczności, a symboliczność romantyczności; chociaż to nie przeszkadza, aby w pewnych ustępach, romantyk nie puszczał się na obrazowanie plastyczne, a klasyk niekiedy nie potrącał o symboliczne wizerunki. Wszakże, aby Partenon ateńskie, tę cudną plastykę linij, wymiarów i kolumn, nazwać dziełem eterycznem, zaś tumy gotyckie z łukami tak uroczo i wiotko wygiętemi, i z tą ornamentyką zewnętrzną, cudowną i jaskrawą uważać za architekturę plastyczną, na to zapewne nikt się nie zgodzi.

„Narodowość“ jest zaprawdę kojarznią wszystkich przeciwieństw społecznych, politycznych a więc i estetycznych, ale nie w tem rozumieniu aby te przeciwy znosiła, ale że je obok siebie utrzymuje, bo czerpie z nich żywot swój. Tylko w chwilach akcji i ważących się wielkich interesów narodowych, poda ręce zgodne arystokracja demokracji, i romantyk klasykowi. Alić doprawdy w imię narodowości romantyk nie będzie tworzył dzieł klasycznych, a klasyk dzieł romantycznych. Jeżeli zaś artysta odgadł genjusz narodowy i przejąwszy się nim, stworzył dzieło, którem porwał cały naród za sobą, mógł to uczynić jako plastyk, mógł uczynić jako zwolennik symboliki, mógł artyzmowi nowe nawet otworzyć tory; — ale wtedy nie narodowość, która mu tylko stała się środkiem, lecz jego „osobistość“ stała się kojarznią przeciwieństw estetycznych.

Jakkolwiek estetyka Trentowskiego nie wszędzie zadowala, jakkolwiek zauważyć musieliśmy że we filozofji formy nie jest tak biegłym, jak we filozofji treści i we filozofji rzeczywistości;— to jednak tę jedną wielką odniósł zasługę, że ostatecznym wypadkiem jego filozofji piękna jest „duch osobisty“. „Idea“ spekulacyjna niemiecka rozpływa się w nieskończoność i w bezmiar. Estetyka zaś stoi na „ideale“; a ten ideał upostacia osoba artysty, a więc duch jednostkowy, będący tchnieniem i obrazem wiekuistego ducha. Duch osobisty, to szczyt estetyki.

„Celem sztuki jest wyjść za obręb ogółu i jego sił pospolitych, a dać coś szczególnego i niepospolitego, coś „osobistego,“ lub iście „bożego.“ Co bowiem osobiste to i boże“ (str. 636).

„Gdy artysta ukaże się wreszcie „tylko sobą“, jako Bóg, a wylewa tak z siebie estetyczne dzieła, jako Bóg stwarza świat, tj. własną siłą; gdy prace „jego osobistością ściśle napiętnowane,“ stają się, jak prace boże, nie tylko narodowym, ale i ludzkościowym wzorem; wtedy mistrzowska doskonałość jego dociera do szczytu a sława jego zasługuje na powszechne uwielbienie“ (str. 637).

„Jako Bóg na wszechświecie, tak rzeczywiście wielki i samorodny mistrz nie ma równia, a we świecie, który stworzył, stoi sam“ (str. 637).

Dr. Libelt.

Kilka słów o dzisiejszej powieści niemieckiej

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

Ale otóż i treść romansu:

W Norderney, w miesiącu sierpniu (r. 1863), bawi młody Polak, hr. Konstanty Karniski syn zamożnego dziedzica z księstwa Poznańskiego. Rodzice jego odznaczali się zawsze lojalnością wielką dla rządu pruskiego. Ojciec dobrym jest Polakiem, lecz uznaje dobrodziejstwa pruskie — i nabył przekonania, że Polska już umarła. Konstanty był w Paryżu, wciągniony został w kluby patrjotyczne— i przysiądz musiał, że gdy powstanie wybuchnie, to obejmie dowództwo jednego oddziału. Wróciwszy do domu zachorował na nerwową gorączkę; chorował długo, a następnie przybył do Norderney dla sił pokrzepienia. Jest smutnym zawsze — bo nęka go przysięga, że pójść musi do powstania. Nadto zakochał się jeszcze i w hrabiance Marji von Artenberg, będącej z chorym ojcem w Nordenney.

„La mise en scene“ następuje na promenadzie porannej. Nadchodzi król hanowerski, różni książęta i hrabiowie. Hrabia Artenberg z córką i Karniski. Przy rozejściu zaprosił król wszystkich do siebie na wieczór, ile że Dreyschock grać będzie a Devrient zadeklamuje.

Hrabia Artenberg już miał za siebie i za córkę odmówić, będąc cierpiącym, ale oświadczył mu Karniski — zaproszony także — że hrabiankę Marję odprowadzi po koncercie do domu, i wytłumaczył siebie tylko w obec łaskawego wezwania króla.

Towarzystwo wieczorne zebrało się liczne. Devrient deklamował piękną poezję Uhlanda, „Des Sängers Fluch“, przyczem wtórował mu Dreyschock na fortepianie. Z początku pianissimo, wielkie czyniło wrażenie; a potem przy klątwie śpiewaka, coraz głośniejsze wydobywał dźwięki — i zakończył, jak gdyby wszystkie duchy zemsty w przerażających zahuczały tonach.

Towarzystwo przez długą chwilę w zupełne pogrążyło się milczenie.

Potem usiadł Dreyschock znowu przy fortepianie. Zagrał jakieś dzikie melodje węgierskie. Śpiewne nuty włoskie; zabrzmiały niby szczęki broni — i w nagłem przejściu zadźwiękł mazur Szopena -

*

przy którego tonach, „krew gorąca Sarmatów wzburzonym zakipia warem.“ Zagrzmiała pod palcami mistrza nagle pieśń wojenna — i salę zaległo „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Obecny hrabia Adlerberg był pomieszanym widocznie. Karniski stanął przy oknie i westchnął ciężko.

(Opis tego wieczoru jest podobno zupełnie zgodny z prawdą).

Po koncercie i herbacie odprowadzał Kontsanty hrabiankę Marję do domu. Szli sam na sam — i dziwna zaiste, że po nią nie przyszedł kamerdyner, strzelec itp. Dla naszych obyczajów i zwyczajów jest to niepojęte. W drodze następuje młodej pary gwałtowne, obustronne oświadczenie miłości — i pocałunki gorące. Poczem Karniski tłumaczy kochance smutek swój i częste „zamyślenie — bo jutro już musi pójść do powstania. Marja blednie, i woła że pójść nie powinien!

— Przysiągłem na hostję! odpowiada Konstanty — wiąże mnie i honor, a wczoraj odebrałem rozkaz tajemnego rządu, ażebym się stawił bez zwłoki.

— Więc chcesz warzycielstwu młodości szczęście swoje i moje poświęcić? woła znowu Marja namiętnie.

— Byłbym wiarołomnym, uznany za tchórza, gdybym się nie stawił. Wreszcie.... stałoby się gorzej jeszcze....

— Jakto?

— Bo wtedy dosięgnąłby mnie sztylet, trucizna, albo kula z rewolweru....

— Okropnie! Okropnie! Marja załamała ręce. Ale przysiągłeś wtedy, gdy wolnym byłeś jeszcze! Idź teraz i powiedz przewódzcom, że byłoby okrucieństwem wymagać obowiązku takiego od człowieka który kocha i jest kochanym! Zrozumieją ciebie, że nie powinni zniszczyć całego życia istocie, dla której ty jesteś wszystkiem! Pójdź do nich i wytłumacz im, ażeby ciebie od srogiej uwolnili przysięgi....!

I Konstanty przyrzekł, że to uczyni.

(Przepraszamy, szanowny panie autorze, alež to jest wielkie i śmieszne „curiosum“!)

Młoda para weszła do altanki i po czułych uniesieniach, pożegnał Konstanty kochankę.

W dni parę później był już w obozie powstańczym — i w obec pułkownika Traugutta, który właśnie z Warszawy był zjechał. Postać tę oddał autor dość pięknie.

Było to pod miasteczkiem Iwangorodem, — (lecz miasteczko zowie się Dęblin, a twierdza Iwangorod, czego autor nie wiedział).

Konstanty przedstawia Trauguttowi, by go zwolnił od przysięgi i obowiązku — bo pokochał istotę, która całem kocha go jestestwem.... Że w marzycielstwie wykonał przysięgę — ale dzisiaj tych młodych nie podziela już złudzeń.

Traugutt wysłuchał go poważnie, z współczuciem. Napomniał, że jego wiąże tylko miłość dla dziewicy, należącej nadto do obcej narodowości, gdy inni opuścili żony i dzieci, by świętych powinności dopełnić — i oświadcza, że go od przysięgi zwolnić nie może. Następnie polecił przywołanemu oficerowi, by Karniskiego posilił tem, czego obóz dostarczyć może i wskazał mu miejsce spoczynku.

W nocy przybywa Mierosławski — i następuje pomiędzy nim a Trauguttem dość gwałtowna rozmowa, bo ich nie zgadzały się zdania.

Wtem żołnierz będący na pikiecie donosi, że nadciąga wielka siła moskiewska. Wszystko chroni się na statki flisaków. Gdy dzień rozwidniał, zobaczyli na wybrzeżu rozsiekane straszliwie trupy powstańców. Traugutt westchnął boleśnie i wyrzekł: „Niechaj niebo przyjmie dusze wasze, nieszczęsne ofiary naszej sprawy świętej, i oby krew przelana ukochanej ojczyźnie upragnioną zwiastowała niezależność. Dla wolności Polski nie masz zbyt drogich ofiar!“

Po niedługim czasie, Karniski ujęty został przez kozaków wraz z Jankowskim, Malinowskim i innymi dowódzcami oddziałów powstańczych. Odprowadzono ich do Warszawy — a dnia drugiego stanął Konstanty wobec jenerała Berga, który wszystko o nim wiedział — bo i o miłości jego. Wiedział, że ojciec lojalnym jest poddanym i że on, Konstanty, przysięgą znaglony, przybył do obozu powstańczego— ażeby go z niej rozwiązano.

Berg rozmawia z nim uprzejmie bardzo, z współczuciem; obiecuje mu nie tylko życie, ale i wolność, byle tylko przewódzców powstania wymienił. Tego jednak zabrania uczucie honoru młodzieńcowi. Berg zostawia mu trzy dni do namysłu. Poczem Konstanty do więzienia odprowadzonym został: w pałacu jenerała Berga — przez długi kurytarz, do dużego, elegancko urządzonego pokoju, przedzielonego parawanem, poza którym stało łóżko i gotowalnia.

Drzwi zawarły się za nim, a przy nich usiadł podoficer na straży. Więzień rzucił się na łóżko i zasnął.

Ze snu głębokiego zbudziło go wymówione jego imię—i ręka czyjaś chwyciła go za ramię. Porwał się. Ujrzał podoficera przed sobą, który odjął brodę.... i poznał w nim Traugutta. Przelękły zawołał:

— Na miłość Boga! Pan tutaj, w pałacu namiestnika?

— Bywam wszędzie, gdzie chcę być — odrzekł Traugutt spokojnie — dla rządu narodowego nie masz w Polsce niedostępnego miejsca. Wzrok jego i ręka sięgają do najgłębszych tajników....

Traugutt wezwał Karniskiego, ażeby wstał, ubrał się, a wyprowadzi go niebawem z więzienia. Konstanty zdumiał z podziwu. Traugutt mówił dalej, że mu powierzy oddział, z którym uda się na granicę austrjacką, by Marjana Langiewicza przyjąć, który uszedł z więzienia.

Karniski na to spochmurniał nagle, i koniec końców, że uwolnienia swojego pod takiemi warunkami nie przyjął. Rozprawiali jeszcze długą chwilę, zbyt długą w okolicznościach tak niebezpiecznych i naglących. A gdy Karniski ostatecznie odmówił, wyjął Traugutt chustkę, przycisnął ją do ust i nozdrzy Konstantego, który natychmiast przytomność utracił.

Gdy znowu przyszedł do siebie, zobaczył podoficera siedzącego przy drzwiach, jak poprzednio — i rozpoznać nie potrafił, czy śnił, czyli też Traugutt rzeczywiście był u niego.

W tym czasie Marja wyczytała z gazet, że Konstanty Karniski wraz z innymi ujęty został — uwięziony i skazany na rozstrzelanie.

Dnia tego, we Frankfurcie — gdzie znajdowała się z ojcem — był właśnie bal wielki u p. Bethmanna — i zaproszona także hrabianka z ojcem, przystroiwszy się z pośpiechem, pojechał., by tamże z królem Hanoweru pomówić.

Zaraz w pierwszych chwilach, gdy weszła na salę, przystąpił do niej król Jerzy. Opowiedziała mu boleść swoją bez granic i błagała, by ocalił Karniskiego. Król przyrzekł uczynić co potrafi, ale nie ręczył za skutek.

Minęły trzy tygodnie. Konstanty wyprowadzony został na plac egzekucji — na rozstrzelanie skazany. Na placu zobaczył Jankowskiego, Malinowskiego i innych. Na widok jego pojaśniała twarz Jankowskiego i podał mu rękę, mówiąc:

— Podejrzywałem ciebie, żeś nas zdradził. Wybacz!

Uścisnął go, a za nim i drudzy. Oficer komenderujący wyrok śmierci przeczytał. Uniósł szpadę. Żołnierze broń wymierzyli.... W tej chwili nadbiegł na koniu spienionym adjutant namiestnika, niosąc ułaskawienie dla Karniskiego.

Twarz Jankowskiego straszna napiętnowała wzgarda i zawołał:

— Otóż nagroda zdrajcy, który kraj swój zdradził i braci! Przekleństwo jemu!

— Przekleństwo zdrajcy! powtórzyli chórem drudzy.

Konstanty posiniał i zadrgnął straszliwie.

— Nie zdradziłem! zawołał — klnę się na Boga w niebie!

— Przekleństwo zdrajcy! powtórzono znowu.

Konstanty rzucił się na pierś Jankowskiemu rozpaczliwie.... Oficer podniósł szpadę — zakomenderował. Padły wystrzały. Karniski był pierwszy, który padł trupem. Kule mordercze niebawem przeszyły i drugich. Padli bez jęku. Krew ofiar w jeden zlała się strumień.

Najpiękniejszy to zaiste ustęp romansu — i najprawdziwszy.

* * *

Marja chciała wstąpić do klasztoru, ale ją król Jerzy napomniał: że ma ojca chorego, któremu troskliwość swoją oddać powinna — i przyrzekła temu obowiązkowi świętemu życie swoje poświęcić.

* * *

W końcu dodamy jeszcze, że w dzisiejszych powieściach niemieckich wprowadzają często i Francuzów — ludzi bez czci i honoru, bez wykształcenia, nieuków i zarozumialców, pyszałków, o elegancję dbających jedynie — nadto i naznaczonych tchórzostwem. Na to odpowiemy jedynie z Wiktorem Hugo:

„Il n'est pas digne de l'homme en qui Dieu reflete,
Du joindre au bras qui tue une main qui soufflete“.

P. z L. W.

POGADANKI.

XV.

Zgromadzonych w tej chwili prawodawców naszych czekają między innemi różne literackie i artystyczne kłopoty. Na drugiem zaraz posiedzeniu pojawiła się petycja o subwencję na cele „literackie.“ Jak słychać, petent napisał elegję p. t. „Konotatka“, i ukrył się pod pseudonimem, tem zręczniej wybranym, gdy na oko zdaje się, jakoby to było prawdziwe nazwisko, zupełnie zwykłego śmiertelnika, podczas gdy... ale nie zdradzajmy tajemnicy. „Konotatkę“ mieliśmy sposobność czytać w manuskrypcie, i jeżeli sejm wyznaczy fundusz na jej wydrukowanie, polecamy ją uwadze tych wszystkich pań i panien, które pragną wypuścić kataraktę łez przez śluzy swoich pięknych oczu. Jest to żałośny lament duszy roztkliwionej wielkim spadkiem akcyj kolei żelaznej lwowsko-czerniowiecko-jaskiej. Forma przypomina po części Treny Kochanowskiego, a po części, jasny i gładki styl galicyjskiego *Circumcalculation-Office*. Niesłusznie twierdzi jedno z pism lwowskich, jakoby petent był „niespełna rozumu“ — jest to prosta zawiść literacka, i sejm powinien nie szczędzić kosztów, ażeby „Konotatka“ pojawiła się wkrótce w jak najozdobniejszem wydaniu.

Po literatach, przyjdą z prośbą o subwencję rozmaite towarzystwa, gimnastykujące na ziemi i w powietrzu, na poręczach, sznurach, kozłach, fortepianach, skrzypcach i fisharmonikach. Ze wszystkich naszych stowarzyszeń mniej lub więcej artystycznych, jedno tylko — towarzystwo łyżwiarzy spogląda z dumą na tę procesję suplikantów, litując się nad nimi w poczuciu swojej niezmiernej wyższości. Dziwić się należy w istocie, że tyle pięknych przykładów nie zachęciło i łyżwiarzy do urządzania wieczorków na łodzie kosztem funduszu krajowego. Każdy dobrze myślący obywatel z większą ochotą płaciłby dodatki do podatków, gdyby wiedział, że nie tylko dobrowolne ale i mimowolne koziołki wywracane będą za jego pieniądze.

Przyjdą, dalej, sceny: krakowska, lwowska i wędrowna ludowa, która nie wędruje, ale siedzi we Lwowie, i której istnienie zaledwie znanem jest ludowi. Tu już na serjo sypnąć będzie potrzeba pieniędzmi, jakkolwiek ponoś komitet nadzorczy dotychczas jeszcze nie znalazł czasu do zdania sprawy sobie i innym o stanie teatru lwowskiego. Ciekawa rzecz, co komitet powie o operze, zwłaszcza gdy najmuzykalniejszym jego członkiem jest p. Władysław Łoziński, w którego oczach, a *recte* uszach, nawet niżej podpisany miał raz sposobność popisywać się ze swoim talentem

muzykalnym, i który mimo tej ciężkiej próby nie dostał kurczów ani żadnej innej choroby. Sąd o operze lwowskiej należy zresztą w tej chwili oddać raczej jakiemu dobroczynnie usposobionemu finansiście, niż krytykowi muzycznemu; gdy będą pieniądze, wszystko się znajdzie. Ile opera potrzebuje pieniędzy, o tem można dowiedzieć się przeglądając zamknięcie rachunków cesarskiej nadwornej opery w Wiedniu. W r. 1874 dochód tego zakładu wynosił:

z abonamentu	.	270.000 złr.
z codziennej sprzedaży biletów	.	422.800 złr.
Razem	.	692.800 złr.

Rozchody zaś były takie:

Gaże artystów i artystek	.	882.000
Dekoracje, rekwizyta itp.	.	264.000
Koszta przedstawień	.	122.000
Razem	.	1,168.000
Od tego przychód	.	692.800
Zostaje niedoboru	.	575.200

Część tego niedoboru pokryta jest stałą roczną subwencją z funduszów państwowych, wynoszącą 210.000 złr. (na nasz kraj wypada z tego około 25.000 złr. tj. więcej, niż otrzymują wszystkie razem sceny krajowe.) Zostaje jeszcze zawsze niepokryty niedobór w sumie, 365.200 złr. który wywołał takie przerażenie, że opera cesarska wyjętą będzie z pod zarządu intendentury i oddaną przedsiębiorcy prywatnemu, jak to już nieraz bywało w Wiedniu, i jak to jest obecnie w Paryżu.

Z tego faktu i z przytoczonych cyfr wynikają dwie nauki.

Po pierwsze, że podniesiony niedawno projekt objęcia teatru wraz z operą w zarząd krajowy, i ustanowienia jakiegoś komitetu administracyjnego, jest niepraktycznym i spowodowałby pod względem finansowym stan rzeczy równie opłakany, jak ten, którego wymownym wyrazem jest wykazany powyżej, przeszło pół miljonowy niedobór.

Po drugie, że opera lwowska potrzebuje znacznie większej subwencji niż ta, jaka na nią przypada z łącznej kwoty 16.200 złr. przeznaczonej dla teatru lwowskiego, zwłaszcza gdy prócz innych wydatków, teatr lwowski opłacać musi czynsz za salę, podczas gdy wiedeńskie teatry nadworne posiadają swoje własne gmachy, równie jak teatr Carla (w pismach naszych wytrwale przezywany teatrem Karola) Stadttheater i Opera komiczna. Lwów ma dziesiątą część tej ludności, co Wiedeń, gdyby więc operze tutejszej dano dla niej samej dziesiątą część tej subwencji, jaką pobiera cesarska opera nadworna, tj. 21.000 złr. stałoby się tylko zadość słuszności, a nie śpiewanoby u nas wcale dziesięć razy gorzej, niż w Wiedniu. Nawet z mniejszą subwencją opera mogłaby u nas utrzymać się i kwitnąć, ale pod warunkiem, by ją oddano osobnemu przedsiębiorcy. Na dzisiejszem swojem małżeństwie, teatr i opera równie źle wychodzą, a jeżeli sejm nie rozdzieli wyraźnie subwencji, lub przynajmniej nie położy warunku utrzymania opery, to wkrótce dowiemy się, że ją zwinięto, i pierwszy lepszy *impressario* niemiecki przyjedzie wywodzić nam swoje trele.

Odezwaćby się mógł nakoniec o pomoc krajową, komitet zajmujący się składkami na kupno obrazów Matejki, i słusznie. Obrazy te zdobić mają salę sejmową. Nie pamiętam gdzie, wyrażono żal z powodu, iż nie nastąpiło to już tego roku. Jakkolwiek ubolewać można, że dotychczas nie zebrano tyle pieniędzy, ile potrzeba, by kupić przynajmniej „Unję“, trudno z drugiej strony żałować, że tak cennego płótna nie zawieszono w sali redutowej. Nie masz tam najpierw ani jednej ściany stosownej — po jednej stronie okna po drugiej loże, po trzeciej słupy, a po czwartej galerja, z której w zimie podczas balów maskowych leją się obficie strugi piwa, podawane muzyce wojskowej dla ochłody. Powtóre, gmach teatralny nie najlepszem jest miejscem dla przechowywania rzeczy pomnikowych. Dzieląc liczbę lat istnienia rozmaitych teatrów przez liczbę pożarów, które je nawiedziły, obliczono, iż każdy gmach teatralny pali się w przecięciu raz na dwadzieścia pięć lat, tj. cztery razy w ciągu jednego stulecia. Są oczywiście wyjątki, i gmach skarbkowski może do nich należeć mimo niedoskonałej swojej konstrukcji i urządzeń nieco patrjarchalnie zaniedbanych — ale któż ręczy za to? Lepiej tedy będzie, jeżeli obrazy Matejki ozdobią dopiero przyszłą, własną salę sejmową, a tymczasem, choć będą kupione, zostaną w jakiem spokojnem miejscu, np. w Zakładzie Ossolińskich. Przedewszystkiem zaś, potrzeba je kupić, a na to potrzeba pieniędzy. Pieniędzy, pieniędzy, i oto cała treść dzisiejszej pogadanki.

Jan Lam.

Listy z Poznania.

I.

Poznań d. 3. kwietnia 1875 r.

O czem tu dziś pisać z Poznania? Żółcią poją, smutek wszędzie, bieda była, bieda będzie. Otóż i obraz położenia naszego — które i sami pogorszamy jeszcze — pogorszamy, jakby umyślnie... obojętnością, w traceniu majątków... z pewnym nawet artyzmem, że tego użyję wyrazu!

Żywioł wiary godzi na nas z przemyśleniem i zawzięcie — to i wszędzie i zawsze winno godłem być naszem: Baczność! nauka, praca, oszczędność, braterstwo i jedność!

Karnawał tegoroczny był krótkim, a króciutkim w Poznaniu. Rozpoczęły go teatra amatorskie na cele dobroczynne, które pod względem każdym udały się całkiem—dzięki kilku dziewicom naszym i kilku młodym panom, którzy swojego nie odmówili udziału. Sala była przepełnioną zawsze i mimo cen wysokich, zatem cel szlachetny dopiętym został. Młode amatorki i amatorowie wywiązali się jak najstaranniej ze swego zadania. W żywych obrazach występowały i panie zamężne.

W Bazarze było tylko parę publicznych wieczorów z tańcami—bo im nie nadano miana balów — i parę składkowych w Hotelu Francuskim. Nadto i w niektórych domach obywatelstwa wiejskiego. Na początku karnawału sarkano na brak młodzieży, bo zaledwo zjechało kilku. A panien jawił się cały wieniec uroczy. Później dopiero większy znalazł się zastęp, ale — jak twierdzono — mało ochoczy do tanów. Stawali jako spektatorowie jedynie, a gospodarze musieli wszelkich dokładać starań, by nieco animuszu obudzić. To i w cóż się obraca ona dziarskość ochocza, przyrodzona młodzieży polskiej? Dawniej przylatywała młodzież, jak barwne roje motylów, by w koło wdzięcznych pokrążyć kwiatków — dzisiaj ściągać ją potrzeba i namawiać. A niby nie widać jej wcale w życiu towarzyskiem i społecznem księstwa. To i gdzież się podziewa? Gdzie spędza dni swoje i godziny? Czy ślęczy nad naukowemi księgami? Czy studjuje ekonomję polityczną? Czy nowe wynalazki bada? Czy tak skrzętnie rolnego dozoruje gospodarstwa? — Ja nie wiem!

Korespondent do „Dziennika Poznańskiego“ z nad Prosny, pod napisem: „Nasza młodzież“ — zarzuca—uderzmy się w piersi! że nigdzie na żadnych posiedzeniach i zebraniach, radzących o stosunkach naszych i mających dobro ogółu na celu — młodzieży obywatelskiej nie widać. Zasiadają tylko obywatele, z maluczkiem wyjątkiem, wyżej lat czterdziestu i czynny objawiają udział. Młodzież jednakże zupełną a zupełną obojętność okazuje na wszystko: synowie ojców, którzy nie opuszczali sposobności żadnej, by w sprawach krajowych działać gorliwie. Tak bywa nawet przy składkowych zebraniach ku uczczeniu znakomitości do grodu naszego przybyłych: bo ugaszczają ich tylko starsi obywatele i kilku młodych z inteligencji miejskiej. Tak bywa i przy uroczystszych obchodach, jak n. p. przy odsłonięciu pomnika w Niegolewie, i przy pogrzebach zasłużonych krajowi ludzi.

Korespondent z „Nad Prosny“ potępia pierwiastkowe wychowanie domowe, które młodych na tak wsteczne popycha tory, mówiąc: że uczą ich wszystkiego po trochu, powierzchownie, a po wyjściu ze szkół, młodzian taki *est propre à tout et bon à rien.* Potem zgrywa się w karty.... pędzi do Monaco, by odegrać się, i przegrawszy resztki zaciągniętych na tę podróż długów, powraca.... i szuka żony majętnej: ofiary! O dążeniach wyższych, szlachetności duszy, podniesienia ducha i serca, oczywiście, że i mowy być nie może.

Bawił tutaj obywatel z Litwy, mąż zacny i inteligentny, pragnący poznać księstwo. „Ależ młodzież wasza? — zapytywał — gdzież młodzież waszą poznać można? Bo nie widzę jej wcale. Byłem wprawdzie na ciekawej nader prelekcji hr. Adama Sierakowskiego, który poznawszy w żywe oczy Indje, mówił nam o nich i wielkie obudził zajęcie, bo wykład był szczególniej umiejętny i pełen wdzięcznej prostoty, przystępny dla wszystkich. Słyszałem z wielką przyjemnością odczyt p. Józefa Kościelskiego, „O Egipcie,“ który sam je zwiedził także, a przedstawił nam wszystko jasno, barwnie i poetycznym wypowiedziane językiem. P. Kościelski, jako autor „Arrii“ już znamienite w literaturze naszej zajął stanowisko. Wiem o zręcznem i umiejętnem wystąpieniu p. Zygmunta Działowskiego na zjeździe archeologów kijowskich i o sprawozdaniu jego z tej podróży, na którą i kosztów nie żałował, bo wziął z sobą nawet dwóch stenografów z Warszawy. To tez ci trzej młodzi panowie pewno do Monaco nie pojadą. Słyszałem zajmującą prelekcję dr. Warnki o Kromwelu; dalej odczyty dr. Kusztelana dr. Jerzykowskiego, księży Płoszyńskiego, Janka, Sikorskiego itd. Ale z tem wszystkiem waszej nie poznałem młodzieży!“ — Przytoczyliśmy dosłownie co szanowny wyrzekł Litwin, chociaż zmodyfikowaliśmy niejedno. Opuściliśmy nawet i wyraz czysto litewski: wytchłe.

Winniśmy jednakże dodać, że w Poznaniu są młodzi ludzie, pracujący w Redakcjach, w sądownictwie, w zawodzie nauczycielskim, w kupiectwie, doktorowie medycyny, inżynierowie, którzy umiłowali zasadę, że nie tylko wiedza jest potęgą — ale i praca.

A teraz przejdźmy i do drugiej nader gorżkiej a boleśnej wzmianki, o wydawnictwie książek polskich, których nie kupują! Widzimy nieraz osoby z pod zaboru rossyjskiego, przejeżdzające przez Poznań, które skwapliwie po tutejszych księgarniach różne zakupują książki, tak mężczyźni, jak panie, lecz tutejsze obywatelstwo ma pod tym względem, jak Farao serce zakamieniałe. Język pozostał się dla nas jedyną, świętą, nieocenioną spuścizną — bo gdybyśmy go zatracić mieli, to i Finis Poloniae wtedy. A język to przecie tak piękny, wykształcony, w którym wszystko jasno i jędrnie wypowiedzieć można — tak pod względem umniczym, jako i poetycznym. Należy niezaprzeczenie do najpierwszych, a wreszcie jest naszym, częścią jestestwa naszego, częścią ukochanej Ojczyzny, nadziei i wiary! Przeczytać jaką nową książkę, toć i niejeden przeczyta jeszcze. Ale kupić? Wydać złotych kilka — uchowaj Boże! Na co? Po co? Lepiej talarów kilkadziesiąt na jakiś blichtr wyrzucić, na cześć marną i próżną. Są piszący, których utrzymanie pióro stanowi jedynie, Polacy duszą i ciałem. Są wydawcy, którzy kosztów nie szczędzą i ciągle czynią nakłady, chociaż dla niewdzięcznej publiczności, jak gdyby ona nie zrozumiała, że powinna z nakazu wyższego, wewnętrznego poczucia, także wspierać nakłady. Chodzi wszakże tylko o talarów parę każdego roku. A pomyślmy, że gdy wsteczność podobna istnieć będzie dalej, to wreszcie i nakładców zabraknie. Bo książki, których wydanie nakładcy uszczerbek majątkowy przyniosło, zamienią się w makulaturę, potrzebną jedynie na zawijanie sera i kiszek. Mówił

nam nawet już jeden z najgorliwszych nakładców tutejszych, że przy takich stosunkach i stratach, wydawnictwa wkrótce zaniechać musi.

Wymienimy ważniejsze dzieła, wyszłe tutaj w ostatnich dniach, a zapytajcie nakładców: ile egzemplarzy sprzedali? To i ramionami ruszycie. U J. K. Żupańskiego wyszła: „Historja powszechna konia" przez p. Marjana Czapskiego, dzieło znakomite w trzech tomach, o którem wyrzekł J. I. Kraszewski, że podobnego żadna nie ma literatura; dalej, „Przysłowia polskie" Weryhy Aleksandra Darowskiego; „Hryhor serdeczny" powieść przez T. T. J.; „Botanika" dla wyższych i średnich klas gimnazjalnych przez Bolesława Jerzykiewicza; „Polska w czasie trzech rozbiorów" przez J. I. Kaszewskiego; „Dzieła filozoficzne" dra Karola Libelta. Tom I. już prasę opuścił: zawiera: „Krytykę rozumu", czyli przejście do filozofji sławiańskiej; „Pamiętniki" hr. Engeströma, posła szwedzkiego w czasie czteroletniego sejmu. Pod prasą są: „Obrazki społeczne" 18 wieku w Polsce od konfederacji Barskiej aż do legjonów polskich we Włoszech: „Zawsze oni", przez Kazimierza Suffczyńskiego (Bodzantowicza). Z ilustracjami J. Kossaka i epigrafami W. Pola.

U L. Merzbacha wyszły: „Dzieje panowania Augusta II." od wstąpienia Karola XII. na ziemię polską aż do elekcji Stanisława Leszczyńskiego, 1702—1704. Dzieło historyczne, znakomite, opracowane sumiennie, oparte na dokumentach, zaczerpniętych z archiwów, w Sztockholmie, w Kopenhadze, w Dreźnie; „Słownik" do Homera „Iliady" i przypisywanej mu „Bachtrachomyomachji", ułożony przez dr. Lazarewicza; „Konrad Wallenrod", rozbiór krytyczny z etycznego i estetycznego stanowiska napisany przez Żegotę Dołęgę; „Sfinks", powieść J. I. Kraszewskiego, wydanie drugie poprawne i przejrzane. (Powieść ta nie zostanie umieszczoną w zbiorze powieści, wychodzących we Lwowie); „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem w Kongresówce" przez Paulinę z L. Wilkońską. Pierwsza serja, traktująca o salonach i życiu towarzyskiem w Warszawie, niemal zaraz po wyjściu (r. 1871 u J. K. Żupańskiego) wyczerpaną została.

W księgarni Mieczysława Leitgebra i Spółka, wyszły: „Historja unji kościoła ruskiego z kościołem rzymskim", napisana przez ks. Edwarda Likowskiego, licencjata Teologji, regensa i proboszcza; „Aniela Merici" założycielka zakonu ś. Urszuli (biografja); „Z portretów familijnych", szkice humorystyczno-obyczajowe.

Teraz powiedzmy i gorętsze jeszcze słówko o wydaniach i trudach zasłużonego ze wszech miar Józefa Chociszewskiego. Jest on mrówką pod tym względem prawdziwą: nie ustaje w pracy i mozołach— a jeszcze i walczy z wielu przeciwnościami. Książki nakładu jego dla dzieci. dla ludu, piosenki polskie pamiątkowe sprzedaje bajecznie tanio. Zbiór jego druków olejnych jest nader liczny i starannie wykonany, na różne ceny; od złótówki aż do kilkunastu talarów — a wszystkie stosunkowo tanie, ładne, a nawet i piękne. Och, gdyby wiodło się jemu, gdyby większe i rozleglejsze mógł czynić nakłady — jakżeż tego winniśmy życzyć!

Ale niestety! Stokroć niestety, że obojętna i niedbała publiczność dozwoliła upaść „Przyjacielowi dzieci", wydawanemu przez niego. Było to pismo bardzo pożyteczne, ilustrowane — wyborne dla dziatwy a tanie nadzwyczaj bo kosztowało tylko talara rocznie! Co tydzień wychodził arkusz. I rodzice wielkopolscy dozwolili upaść takiemu pismu! Jest to srom dla nas zaprawdę.

* *
*

POLEMIKA.

Stosunek mego „Zarysu dziejów literatury polskiej" do badań i pomysłów p. dr. Antoniego Małeckiego. — Rzecz we własnej obronie napisana przez Adama Kuliczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Oto poczet monografji i opracowań, które miałem pod ręką:

W. Cybulski. „O runach słowiańskich." Poznań 1860.

Szafarzyk i Palacky. „Die ältesten Denkmäler der böhmischen Sprache." Prag 1840.

Palacky. „Geschichte von Böhmen." Prag 1836—39.

Guszalewycz. „Słowo o połku Ihorja Światosławicza." Lwów 1850.

Głowacki J. „Ueber Ihors Heereszug gegen die Polowzer." Lwów (program gimnazjum akademickiego) 1853.

„Igor, ein altrussisches Heldengedicht" von Aug. Boltz. Berlin 1854.

Borkowski St. „Psałterz królowej Małgorzaty." Wiedeń 1834.

Działyński T. „Zabytek dawnej mowy polskiej."

„Wypisy polskie" dla użytku klas wyższych c. k. szkół gimnazjalnych. Tom I. Lwów 1857. (Tu są zamieszczone wyjątki z pomników języka polskiego i podane wiadomości literackie o nich).

Przyborowski J. „Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego." Poznań 1857.

St. Przyłęcki. „Żywot i pisma Jana Kochanowskiego" (zamieszczony w dodatku do zbiorowej edycji J. K. Turowskiego). Przemyśl 1857.

Felicjan (recte Faleński). „Treny Jana Kochanowskiego." Warszawa 1867.

Kraszewski. „Dziś i lat temu trzysta." Charakterystyka Reja z Nagłowic. Wilno 1863.

Węclewski St. „Flis F. S. Klonowicza." Chełmno 1862.

Węclewski St. „Sielanki Szymona Szymonowicza." Chełmno 1864.

J. Rymarkiewicz. „Miaskowski Kasper." Zbiór rytmów... wiadomością o życiu i pismach Miaskowskiego opatrzony. Poznań 1855.

„Sielanki Józefa Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów." Wydanie J. K. Turowskiego. Przemyśl 1857. (Tu się mieści życiorys Szymonowicza przez A. Bielowskiego i Zimorowiczów przez Henryka Felsztyńskiego).

Wojcicki K. Wł. „Teatr starożytny." Warszawa 1841, 2 tomy.

J. Baranowski. „Nicolai Copernici Torunensis de revolutionibus orbium coelestium." Warszawa 1855. (Na czele tej publikacji znajduje się obszerny życiorys M. Kopernika).

J. Śniadecki. „O Koperniku." Warszawa 1837.

M. Ossoliński. „Wiadomości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiej." Kraków i Lwów 1819 i 1852.

Rychcicki. „Piotr Skarga i wiek jego." Kraków 1851—2, 2 tomy.

Wł. Trębicki. „Zbiór wiadomości o życiu i pismach Łukasza Górnickiego." Biblioteka warszaw. 1843.

A. Małecki. „Andrzej Frycz Modrzewski." Biblioteka Ossolińskich. Lwów 1864.

M. Malinowski. Kronika polska, litewska... wydanie poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Stryjkowskiego. Warszawa 1846.

Szajnocha K. „Szkice historyczne", tom I. i III. Tu się mieszczą rozprawy o Wacławie Potockim i K. Opalińskim.

L. Nabielak. „Wacław Potocki i jego Argenida." Bibliot. Ossol. Lwów 1862.

A. Małecki. „Andrzej Morsztyn poeta polski XVIII wieku." Pismo zbiorowe J. Ohryzki. Petersburg 1859.

K. Estrejcher. „Rzewuski Wacław." Rozmaitości lwowskie z r. 1858.

Siemieński L. „Stan. Trembecki." Biblioteka Ossolińskich tom VIII. Lwów 1866.

X. Adam Czartoryski. „Żywot J. U. Niemcewicza." Berlin i Poznań 1860.

Morawski Fr. „Życie Kajetana Koźmiana." Poznań 1856.

H. Schmitt. „Pogląd na żywot i pisma księdza Hugona Kołłątaja." Lwów 1860.

J. Śniadecki. „Żywot literacki Hugona Kołłątaja." Warszawa 1837.

Tenże. „Żywot uczony i publiczny Marcina Odolanickiego Poczobuta." Tamże tego roku.

Wł. Zawadzki „Stanisław Staszic." Lwów 1860.

Szujski J. „Stanisław Staszic jako pisarz polityczny." Przegląd polski. Kraków 1866.

M. Baliński. „Pamiętniki o Janie Śniadeckim." Wilno 1864—65, 2 tomy.

„Dzieła Jędrzeja Śniadeckiego." Wydanie M. Balińskiego (z życiorysem pisarza). Warszawa 1841.

A. Osiński. „Życie Tadeusza Czackiego." Krzemieniec 1813.

Tenże. „Pochwała On. Kopczyńskiego." Warszawa 1817.

A. Waga. „Wzmianka o życiu i dziełach Krzysztofa Kluka." Bibliot. warsz. 1843.

K. Brodziński. „Wiadomość o życiu i pismach Fr. Karpińskiego." Rozprawa umieszczona na czele warszawskiej edycji pism tego poety z r. 1830.

M. Gliszczyński. „Historja powszechna literatury Jana Scherra." Warszawa 1865, 2 tomy.

„Pamiętnik Wincentego Pola do literatury polskiej XIX wieku." Lwów 1866.

M. Mochnacki. „O literatrrze polskiej w wieku dziewiętnastym." Warszawa 1830.

W. Cybulski. „Odczyty o poezji polskiej." Poznań 1870.

L. Siemieński. „Żywot Kazimierza Brodzińskiego." Kraków 1851.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— „1780". Obraz dramatyczny w pięciu aktach, z faktów dziejowych, napisał Feliks z Grodkowa. — Kraków 1875.

W Krakowie dramat kwitnie. W krótkim przeciągu czasu notujemy już drugi na tem miejscu. Autor r. „1780" zna historję, zna intrygi miłosne, których widownią był dwór Stanisława Augusta, a że ma język poprawny i dość dokładne wyobrażenie o wymaganiach scenicznych przeto zdaje nam się, że utwór ten dałby się przedstawić. Z drugiej atoli strony nie możemy ukryć żalu, że tak niezaprzeczenie utalentowany autor, wybrał temat w którym nikczemność jest główną intrygą. Wprawdzie intrygantka par excelence, księżna Sapieżyna, płatna eksmetresa króla Stanisława, zostaje na końcu ukaraną, ale mimo to całość robi na czytelniku przykre wrażenie, tyle w niej brudu, a tak mało stron dodatnich. Oburzamy się demoralizacją jaka panowała na dworze ostatniego króla polskiego, ale właśnie też dla tego, że się oburzamy, nie chcemy jej widzieć w działaniu żywych osób. Niech o niej mówi historyk. Sztuka natomiast powinna ducha podnosić. Tyle uwag, z których może p. Feliks z Grodkowa w przyszłości zechce skorzystać.

— Przyczyny i skutki nierządu Polski, przez Eugenjusza Nowinę. — Lwów, nakładem księgarni Polskiej — 1874.

Autor niniejszej broszury, opierając się na historji przebiega długi szereg przyczyn, które spowodowały upadek Polski, i w końcu wynurza przekonanie, że tylko praca organiczna może Polskę zbawić. Na Austrję zapatruje się jako na mocarstwo, które wyparte z Włoch i Niemiec, musi teraz opierać się o Polaków, aby przeciwstawić skuteczną siłę moskiewskiemu panslawizmowi. Rzecz cała napisana z poczciwą tendencją, zasługuje, by się dostała do rąk najszerszej publiczności.

— „Najlepsze wiązanie", przez Antoniego Porębskiego, i „Imieniny mamy" przez Marję Grabowską. Lwów, 1875.

Księgarnia Polska we Lwowie należy niezaprzeczenie do najbardziej ruchliwych w całej Galicji. Przedewszystkiem stara się taniemi wydawnictwami wpływać na te klasy, które dotąd nic nie czytały. Między innemi rozpoczęła wydawnictwo „Biblioteki dziecinnych amatorskich teatrów", każdego zaś roku przeznacza premjum za najlepszy utwor sceniczny dla dzieci. „Najlepsze wiązanie" jest jednoaktową komedyjką, uwieńczoną nagrodą właśnie w tym roku, a „Imieniny mamy" komedyjką dwuaktową, która wyszczególniała się między pracami przysłanemi na konkurs. Obie te książeczki kosztują razem tylko 50 cnt. warto je więc kupić dla dzieci.

Bibliografja podawana przez księgarnię

F. H. RICHTERA.

Budziński: „O powtarzaniu przestępstw". 70 cnt.
Claus: „Pszczoły". 25 cnt.
Jerzykowski Dr. St: „Akuszerja". tom III; 9 złr. 75 cnt.
Jezierski Michał: „Córka morza" powieść, 1 złr.
Mikłaszewski: „Studja nad postępowaniem karnem". 1 złr. 25 cnt.
Mokrzycki: „Czy należy hodować u nas owce" 25 cnt.
O'reilly X: „Obrazki z historji Kolosseum rzymskiego". 2 złr. 15 cnt.

Oręcki: „Gorais. Poemat S. F. Klonowicza“ 1 zlr. 40 ct,
Pietraszek: „Żniwiarka, jej historja, budowa i użycie“. 2 zlr. 20 ct.
Periu K.: „Bogactwo w społeczeństwie chrześcijańskiem“. 2 zlr. 25 cnt.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— W „Neue Fr. Pressie“ z d. 3. b. m. znaleźliśmy dwa artykuły poświęcone polskim artystom. W pierwszym p. E. Ranzoni mówi o „Iwanie Groźnym“ Jana Matejki, który znajduje się właśnie na wystawie we Wiedniu. Recenzent przypisując Matejce niepospolity talent we wszystkich dawniejszych kompozycjach, utrzymuje, że w „Iwanie Groźnym“ artysta przesadził, przedstawiając djabła gorszego niż mógłby być w rzeczywistości. Skutkiem tego — mówi Ranzoni — „Iwan Groźny“ zamiast grozę wywoływać, pobudza do śmiechu.—Zdaniem naszem, właśnie w tym zarzucie zawiera się całe usprawiedliwienie kompozycji Matejki. Absolutyzm Iwana Groźnego,“ to nie absolutyzm europejski, świadomy swoich celów, czasem nawet wielkich, do którego przyzwyczaiła nas historja. „Iwan Groźny,“ to nie Cezary Borggia, który marząc jakiś czas o zjednoczeniu Włoch, truł, mordował i rozbijał małych potentatów, aby na ich grobie stworzyć jedność narodową. Widok takiego despoty może obudzić szlachetną grozę. Takim jest także lew, król pustyni. Iwan Groźny, to despota azjatycki, o instynktach na wskróś dzikich, pół-błazen, patrzący na krwi strumienie dla tego z przyjemnością, że mu jej barwa czerwona przyjemność sprawia; to despota, który nawet bez celu zabija, jedynie by mógł potem powiedzieć: „Ja jestem panem życia każdego człowieka.“ To nie lew zatem ale hijena, która łaknie krwi i trupów, ale przed silniejszym ucieka. Nasze pojęcia tak daleko odbiegły od tego rodzaju despotyzmu, że widok jego musi nas rozmieszać. „Iwana Groźnego“ nie widzieliśmy dotąd w oryginale; mamy przed sobą tylko fotografję. Ale i z fotografji możemy już osądzić, że w „charakterystyce“ główuej osoby Matejko nie przesadził; owszem dał nam ją taką, jaką w rzeczywistości być musiała. Przesadę widzimy raczej w układzie pojedyńczych osób—ale o tem pomówimy później i na innem miejscu. Ranzoni utrzymując, że Matejko dał w „Iwanie“ za wiele, kończy swój artykuł oceną obrazu „Zdobycie Rzymu przez Niemców w r. 1527,“ którego autorem jest Niemiec, A. Vischer. Ten obraz — mówi Ranzoni — ma za mało. Jest w nim wszystko, czego się nauczyć można, ale i nic więcej.—Co więc lepiej, czy dać za „wiele,“ czy za „mało?“ Drugi artykuł w „Neue fr. Presse“ pióra W. Goldbauma, jest poświęcony A. Grottgerowi. Autor korzystając z artykułu St. hr. Tarnowskiego, który zeszłego roku ukazał się w „Przeglądzie polskim,“ nie przytaczając atoli źródła, z którego zaczerpnął, przytacza listy A. Grottgera, charakteryzujące tę piękną i wielką duszę. Biedni Niemcy, kiedy nienawidząc nas tak serdecznie, muszą zajmować się tak często sztuką naszą.

Literatura i sztuka.

— Przed kilką miesiącami umieściliśmy w naszem piśmie recenzję znakomitego dzieła Backera, pt. „Ismaila,“ które pojawiło się świeżo w języku angielskim. Autor tego dzieła stał na czele licznej ekspedycji, która z polecenia rządu egipskiego wyruszyła w r. 1872 w głąb Afryki w celu zniesienia niewolnictwa. Przygody tej wyprawy są jakby szeregiem opowieści z „Tysiąc i jedna nocy.“ Z przyjemnością donosimy naszym czytelnikom, że najbardziej zajmujące epizody z „Ismaili“ pojawią się wkrótce w „Tygodniu,“ a całe dzieło wyjdzie osobno w przekładzie K. H. Ślepowrona. Przekład już ukończony.

— Hr. Aleksander Fredro, napisał nową komedję, pt: „Wesołe bractwo“ która ma być wkrótce przedstawioną na naszej scenie. Ma być także przedstawioną komedja włoska „La Partita di Scacchi“ (Partja szachów) J. Giacosa, w tłumaczeniu p. Jana Tańskiego.

— We Lwowie powstaje nowa księgarnia „Spółki literackiej“. Ponieważ ufamy, że literaci, którzy ją zakładają, będą mieli na celu rzetelne krzewienie literatury ojczystej przeto z całego serca życzymy powodzenia nowemu przedsiębiorstwu. O ile nam wiadomo, otwarcie księgarni nastąpi w pierwszych dniach Czerwca rb.

— W Odessie odbyły się d. 27. marca i 4. kwietnia koncerta pani Friderici Jakowickiej i Ludwika Marka, przy wielkim natłoku publiczności. Miejscowe gazety umieszczają bardzo pochlebne recenzje o naszych lwowskich artystach.

— Składki na zakupno „Unji“ Matejki, przyniosły już we Lwowie blisko 11.000 guldenów. Jeżeli do powyższej cyfry dodamy przeszło 8000 zebranych w Krakowie, to okaże się że mamy już przeszło połowę kwoty, potrzebnej na zakupno „Unji.“ W obec tak pomyślnych rezultatów, niepowinniśmy jednak zakładać rąk obojętnie. Rzucajmy dalej po groszu — a „Unja“ będzie wkrótce naszą własnością.

— Teatr ruski, zostający pod kierownictwem panny T. Romanowicz, a grający rzeczywiście po rusku, nie zaś po moskiewsku, przedstawił się kilka razy na scenie lwowskiej szerszej publiczności. Każdym razem teatr był pełny: przedstawicieli atoli narodu ruskiego, t. j. tych, którzy zawsze i wszędzie gardłują, że są jego przedstawicielami, naprożnośmy szukali. Okazuje się z tego, że im nie idzie o język ruski, ale moskiewski, o czem zresztą nie od dziś wiemy. Publiczność przyjmowała trupę ruską, która mimo że jest prowincjonalną, gra wcale dobrze, bardzo sympatycznie, a za „kołomyjkę“ tańczoną z werwą nagradzała artystów hucznemi oklaskami.

— Józef Wieniawski, wróciwszy w kilkumiesięcznej wycieczki artystycznej, objął posadę dyrektora w warszawskiem Towarzystwie muzycznem; mieszkańcy Warszawy spodziewają się wiele po nowym dyrektorze.

— Tegoroczny zjazd niemieckich lekarzy i przyrodników, nastąpi w Gracu, w Austrji.

— Najnowszy utwor dramatyczny Spielhagena „Liebe für Liebe“ przedstawiono we Wrocławiu z niepospolitem powodzeniem. Autora wywoływano bez przerwy. Spielhagen pracuje teraz nad tragedją z czasów Karola V.

— Ostatni obraz Henryka Siemiradzkiego przedstawiający „Chrześcijan przy wejściu do katakomb,“ został kupiony w Petersburgu, gdzie był na wystawie, przez moskala Iwaszewa za 5000 rubli.

— Panna Józefina Reszke, warszawianka, ma w połowie maja wystąpić w nowej Operze paryskiej. W dotychczasowych występach na rozmaitych scenach, a szczególnie w teatrze „Fenice“ we Wenecji miała nadzwyczajne powodzenie.

— W Marsylji ma być wystawiona w „Grand Théatre“ nowa opera pt. „La fiancée de Venise,“ do której libretto napisał Molinari, a muzykę Polak, p. Wróblewski. Mamy więc nowego kompozytora, o którym dotąd jeszcześmy nic nie słyszeli.

Odkrycia i wynalazki.

— Do zbioru numizmatycznego gimnazjum w Gdańsku, dostała się od burmistrza gdańskiego Wintera część monet i numizmatów znalezionych w powiecie Chełmińskim, które tyczą się miasta Gdańska, zakonu Krzyżackiego, księstwa Pruskiego i rzeczypospolitej Polskiej. Najosobliwszym jest medal śpiżowy z r. 707, który niewiadomo, w jaki sposób dostał się w te strony; ponieważ jednak jest u góry przedziurawiony, zatem zapewne noszony był na szyi. Medal ten przedstawia Papieża Sysyniusza I, z napisem. Papież ten wybrany na pontyfikat w październiku 707 r. umarł po 20 dniach pontyfikatu dnia 6 listopada t. r. będąc sparaliżowany. Pochodził on z Syrji.

— Piszą z Poznania, że pod kierunkiem p. Witt z Bogdanowa, odkopano d. 30. z. m. grób pogański przy żwirówce obornicko-rogozińskiej, w Rożnowie. Na 2 stopy pod ziemią znajdował się otoczony okrągłemi małemi kamieniami grób kamienny, bardzo starannie ustawiony z gładkich płyt granitowych. Płata wierzchnia miała 59 centym. szerokości a 91 cent. długości. Podczas kiedy każdą ścianę tworzy jeden płaski kamień, spód grobu pokryty był gładkiemi, małemi płytami kamiennemi. W grobie znajdowały się trzy urny, wysokości 27 centym. 89 cent. objętości w środku a 54 cent. u utworu. Ozdób na nich nie było żadnych. Zawierały się w nich tylko resztki kości. W piasku tylko obok grobu znaleziono odłamek granitowy, który mógł służyć za broń.

— Sławny naturalista angielski, profesor Tyndall wynalazł rodzaj respiratora, który pozwala oddychać w największym dymie. Wata namoczona gliceryną i posypana proszkiem z węgla drzewnego jest podstawą tego respiratora. Sam wynalazca robił już ze swoim przyrządem bardzo skuteczne doświadczenia, a naczelnik londyńskiej straży ogniowej, kapitan Shaw, zaprowadził go między swymi ludźmi.

— Jeden z włoskich oficerów wynalazł aparat, dzięki któremu wojsko będzie mogło wśród marszu gotować sobie objad. Poczynione próby bardzo dobrze wypadły. W kilku oddziałach armji zaprowadzono już te hermatycznie zamknięte garnki.

Szkolnictwo.

— Minister oświecenia rozporządził, aby z bibljotek szkolnych w Galicji wykluczono mapę Polski w dawnych granicach. Równocześnie zabronił używać tej mapy jako podręcznika przy nauczaniu historji. Fakt ten nie potrzebuje komentarza.

— Mikołaj i Jakób br. Romaszkanowie złożyli 2000 guldenów na szkołę rolniczą w Horodence, której założeniem zajmuje się miejscowy oddział Towarzystwa gospodarskiego. Piękny ten czyn zasługuje na największe pochwały.

Gospodarstwo.

— W roku ubiegłym, w Kantonie Graubünden w Szwajcarji, zabito 918 kóz alpejskich, 4 niedźwiedzie i 18 orłów. Najwięcej kóz zabił jeden tylko strzelec, bo 16. Przytem wypada nadmienić, że według ustaw polowanie trwało tylko 4 tygodnie, tj. przez miesiąc wrzesień. Dawnemi czasy, gdy dłużej polowanie trwało zabijano najwięcej 700 gemz. Okazuje się z tego, że ostrzejsze przepisy przyczyniły się w wysokim stopniu do rozmnożenia zwierzyny.

— Duńczycy znaleźli jeden z najkorzystniejszych punktów zbytu dla handlu masłem, które wyrabiają sami w wielkiej ilości i otrzymują na targi swoje ze Szwecji południowej. Wysyłają produkt ten w najdalsze okolice Wschodu. Z tego powodu Kopenhaga stała się obecnie ogniskiem handlu masłem; tam to przygotowują je do wywozu, ku czemu, potworzyły się zakłady, z których każdy daje zajęcie codziennie stu trzydziestu do stu czterdziestu robotników obojej płci, przy rozgatunkowaniu tego towaru i pakowaniu go w pudła lub skrzynie. Masło dowiezione do fabryk natychmiast poddanem zostaje jak najściślejszemu rozgatunkowaniu; przeznaczone do wywozu na Wschód musi być w najlepszym rodzaju. Poczem następuje wyciskanie z masła za pośrednictwem środków mechanicznych, wszystkiej wilgoci, jaką mogłoby posiadać. Tak przygotowany towar opakowują w pudłach blaszanych, rozmaitej objętości od 250 gramów aż do 10 kilogram. i pudła owe szczelnie zamknięte, za pomocą przylutowania pokrywy, pomalowane z wierzchu i opatrzone etykietami układają następnie wszystkie razem w drewnianych skrzyniach, w ten sposób, ażeby w czasie przewozu, choćby przy największych wstrząśnieniach, nie mogły trzeć się i uderzać o siebie. W tym celu rogi pudeł zaokrąglają się a przerwy pomiędzy niemi zapełnia słoma ryżowa, mocno zbita, której zadaniem zasłaniać towar zarówno od zbyt mocnych wstrząśnień, jak od gorąca. Masło wysłane z zachowaniem takich ostrożności przybywa z Kopenhagi do Chin w stanie najwyborniejszym. Kupcy duńscy uważają tę targowicę chińską, którą potrafili sobie otworzyć, za prawdziwą kopalnię złota, i jedyną ich obawą jest tylko, że nie zdołają wystarczyć olbrzymim żądaniom tego towaru w owych okolicach.

Nekrologja.

— Karol Ruprecht, wychodźca i członek rządu narodowego w r. 1863 umarł w Monachjum w d. 31 marca br. Ruprecht był mężem wielkiej nauki, niespożytej siły woli, i rzadkiej prawości charakteru. Polska straciła w nim jednego z najlepszych swoich synów. Cześć jego pamięci!

ROZMAITOŚCI.

— Jeden z niemieckich dzienników otrzymał następujący list z Teheranu, który dla ciekawego opisu polowania i niektórych zwyczajów na dworze Szacha perskiego w skróceniu tu podajemy.— W początkach Stycznia bieżącego roku, powiada ów korespondent, opuścił Szach Teheran, celem zapolowania w okolicach. Cały orszak jego, składający się z wielu dostojników i niezmiernego mnóstwa młodzieży, skierował się ku Ken, maleńkiej i bardzo przyjemnej, dwie mile od Teheranu na północ położonej wioseczce, w której Szach myśliwski zameczek posiada. Perska etykieta dworska nie zna innych stosunków pomiędzy Szachem a posłami europejskemi rezydującymi w Teheranie, członkami ciał dyplomatycznych i innymi cudzoziemcami, okrom publicznych i prywatnych audjencyj. Prawdziwą tedy wdzięczność winniśmy byli pierwszemu nadwornemu doktorowi Szacha p. Th. że nas zaprosił, abyśmy go w namiocie pod Ken odwiedzili, robiąc nam zarazem nadzieję, że Szach dowiedziawszy się o naszem przybyciu, przynajmniej widzami łowów swoich być nam pozwoli. Nadzieja ta była nam tak przyjemną, że zebrawszy się co żywiej, już 12 Stycznia po południu wyjechaliśmy przez „Bramę Wyścigów" ze stolicy. W drodze, po przecudownej, letniej prawie pogodzie, schwycił nas nagle prawdziwy huragan zimowy, zwany tu „Kulak". Zmarznięci do kości, bez tchu prawie, zaledwieśmy dobrnąć zdołali do Ken. Na szczęście gościnne zaproszenie dr. Th. pozwoliło nam nieco przyjść do siebie w jego domu. Nie znaleźliśmy tam, jako w chłopskiej chacie, ani porządnych drzwi i okien, ani temperatury cieplejszej o wiele, ale przy pomocy znakomitego aparatu do ogrzewania, który tam „Kursi" nazywają i niezliczonej ilości szklanek gorącej herbaty ciała nasze odtajały nieco. Kursi, jest to naczynie napełnione żarzącemi się węglami i ustawione pod niskim kwadratowym stolikiem, który pokrywa spadający aż do ziemi i osłaniający go ze wszech stron gruby dywan. Dywan ten nie daje uchodzić ciepłu żarzących się węgli. Gdy się zasiądzie w około takiego Kursi na niskich krzesełkach, i wyciągnie nogi pod dywan w ogrzaną atmosferę, w bardzo krótkim czasie dobroczynne ciepło rozszerzy się po całem ciele. Tegoż samego wieczora jeszcze udzielił nam dr. Th. przyjemnej wiadomości, że Szach dowiedziawszy się o naszej bytności, prosi, abyśmy mu towarzyszyli na łowach. Nazajutrz rano około 9 godziny dano znać, że Szach wsiadł na koń. I myśmy się ruszyli natychmiast. W wąskich, po największej części poprzerzynanych ściekami wody ulicach Kenu roiło się prawdziwie od ludzi; wciąż musieliśmy zatrzymywać się i czekać, aż tłumy jezdnych sług, żołnierzy, strzelców, biegunów królewskich miejsce nam zrobią. Dalej wiodła nas droga ku potokowi Ken spadzista i wymagająca wielkiej ostrożności, a wreszcie przejechać było trzeba i przez sam potok, nie nader wygodnie, bo wpośród kier lodowych. Od tego miejsca pędząc wyciągniętym kłusem, ujrzeliśmy wkrótce w oddali orszak około 500 jeźdźców, który coraz nowi przybysze wciąż jeszcze powiększali. Zbliżywszy się bardziej, ujrzeliśmy sześciokonną karetę dworską króla. O milę może od Ken, niedaleko miejsca zwanego Kuritschai, zatrzymał się orszak. Pod drzewami rozbito karmazynowy namiot, w którym miał Szach śniadać. Nim jednak jeszcze opuścił karetę, posłuchanie dawał i sprawy państwowe załatwiał, widzieliśmy bowiem dostojników zbliżających się do karety wśród mnogich pokłonów, a także akta i papiery podawane do karety i oddawane z niej napowrót. Doktor Th. za powrotem z urzędowej wizyty swojej od Szacha oznajmił nam, że z powodu burzy nocnej i zimna obławę odłożono na dzień następny, a dzisiaj tylko polowanie na kuropatwy miejsce mieć będzie. Zawiadomił nas także, że Szach polecił jednemu z krewnych swoich, księciu Ali Risa Khan Kadschar Azed-ul-mulk, Gubernatorowi Mazenderanu, znajdującemu się zawsze w pobliżu, ażeby był Mehmandar, to znaczy: czynił nam honory tych łowów. Wkrótce skończyło się śniadanie Szacha i ruszyliśmy dalej przez kamienną, bezpłodną płaszczyznę, ku zachodowi. Woźnice persey odznaczają się istotnie godną podziwienia zręcznością. Po drogach przystępnych zaledwie dla mułów a czasami przez pola po głębokich wybojach i kamieniach wielkich jak głowy, pędzą wyciągniętym kłusem, bez najmniejszego wypadku. Że resory naszego landau moskiewskiej fabryki znacznie na tej metodzie ucierpiały, nie ma nawet co mówić. Nareszcie stanęliśmy nad korytem głębokiej widocznie a teraz zupełnie suchej rzeki. Jego Królewska Mość wyszła z powozu i za pomocą lunety starała się dostrzedz na stoku o pół milę oddalonej góry stado kozłów skalnych, których bystre oko wielkiego łowczego odkryło tam i wskazało królowi, Szach wezwał nas, abyśmy się zbliżyli i podał nam sam perspektywę, zachęcając, ażebyśmy przyjrzeli się tej majaczącej w oddali zwierzynie. Wydał rozkazy odnoszące się szczegółów polowania a nam poradził wziąć donośne sztućce, bo zwierzyny zapewne będzie co nie miara, — i wsiadłszy na przepysznego, kapiącego od złota i ozdób bułanego araba, podążył wzdłuż koryta rzeki ku górom. Tymczasem stosownie do rozkazu Szacha, parę set jeźdźców oddzieliło się na prawo, w celu napędzenia kuropatw dostojnemu myśliwcowi. My, ulegając uprzejmemu zaproszeniu Szacha, trzymaliśmy się tuż przy nim. Szach jest wybornym jeźdzcem, zażywa konia doskonale i trzyma się na nim z wielkim wdziękiem. Strój, który miał wówczas na sobie, przyozdabiał go także nadzwyczajnie. Zamiast czarnej barankowej czapki perskiej, którą zwykle nosi, miał tego dnia na głowie wysoki i szerokokresy szary kapelusz, obszyty drogiem futrem i zdobny kitką lśniącą brylantami, a zamiast surduta uniformowego, w którym się najczęściej pokazuje, przywdział tego dnia długi, oblamowany futrem płaszcz z zielonej materji szalowej kaszmirskiej; pod tym zaś krótszy strój z tejże samej materji pomarańczowego koloru, i wysokie kawaleryjskie buty. Towarzysze jego, po większej części młodzieńcy ledwo dwudziestoletni, ubrani byli podobnie i wszyscy prawie trzymali na ręku dwa albo trzy sokoły. Były to piękne i silne ptaki, bystro rozglądające się mądremi swemi oczyma naokoło. Wielu z orszaku prowadziło także małe sfory chartów, które napotkawszy kilka zajęcy spłoszonych przez zbliżający się orszak, puszczały się za niemi i w kilka minut doganiały. Widok całego tego pochodu,—jeźdźców, myśliwych, koni, sokołów i psów na tle wąskiej doliny, ustrojonej rozproszonemi tu i owdzie grupami drzew, z wysokiemi uwieńczonemi śniegiem górami w dalekiej głębi na ostatnim planie, wszystko to wywarło na mnie dziwnie urocze, a razem osobliwe wrażenie; był to jakby żywy obraz łowów średniowiecznych, z całą prawdą kolorytu i układu. Wkrótce doszliśmy do punktu, gdzie dolina rozszerzać się zaczęła. Szach zwrócił się na lewo i zajął stanowisko na wzniesieniu, z którego był widok na wszystkie strony. Przy nim stanęło kilku dworzan jego trzymając sokoły, które gubernator Gilanu właśnie przed kilkoma dniami w ilości 20 sztuk Szachowi, w podarku nadesłał. Ptaki te, mają sznurek na około szyi z przytwierdzonym doń amuletem, u nóg zaś brzękadła, ułatwiające znalezienie ptaka, gdy się zabłąka. Sokolnicy trzymali je na wskazującym palcu, jednej ręki, drugą zaś sznurek i w tej pozycji oczekiwali na zaczęcie łowów. Wkrótce pokazali się jeździcy, których zadaniem było zwierzynę napędzać, a przed nimi stadka kuropatw po 20, 30 sztuk zrywały się w powietrze. Na ten widok sokolnicy podrzucili ptaki lekko na ręku i spuścili je ze sznurka. Sokoły podnosiły się jak raca w górę, spoglądały przez chwilę, i spadały jak błyskawice na ofiarę swoją, podlatującą najczęściej przy samej ziemi, na swoje nieszczęście; trzy tylko czy cztery razy ujrzeliśmy interesujące widowisko walki sokoła z kuropatwą pochwyconą w powietrzu. Po krótkiem starciu razem jak kamień spadały ku ziemi: kuropatwa nieżywa, sokół tryumfator. Sam Szach kilkakrotnie puszczał swego sokoła. Gdy obławnicy bardziej się zbliżyli podniosły się całe roje ptactwa, a wówczas przywołano sokoły i rzucono się do strzelb, których ofiarą po sumarycznym obrachunku padło do 180 kuropatw i tuzin zajęcy. Polowanie trwało około trzech godzin. W czasie powrotu zręczność służby perskiej, towarzyszącej konno powozom, obudziła w nas prawdziwy podziw. Dostojniejsi Persowie zwykli wybierać się w podróż i na łowy w towarzystwie „Abdaa" tj. człowieka, który wodę, owoce, lód, sorbety itd. za nimi niesie, i drugiego tak nazwanego „Kaliundschi" którego zadaniem jest mieć przy sobie wszystkie przedmioty potrzebne do przyrządzenia nargileh (wodnej fajki) dla swego pana. I nasz więc Mehmandar, jako dostojnik, utrzymujący w Teheranie paręset służących i 50 najpiękniejszych koni na stajni, pamiętał o zaopatrzeniu się w powyższe niezbędne wygody. Niewiele jeszcze ujechawszy, ujrzeliśmy jak Kaliundschi, bez rozkazu pana naczynie szklanne do nargili z futerału przytwierdzonego do siodła wyjął, napełnił je wodą z flaszy wiszącej po prawej stronie wspinającego się rumaka, nie uroniwszy ani kropli; fajkę nałożył, cybuch przyprawił, z wiszącego na łańcuszku po lewej stronie kociołka płonący węgiel wydobył, i wreszcie tak przyrządzoną fajkę oddał Pischidmetowi, czyli kamerdynerowi, który w pełnym galopie poskoczył i wręczył ją panu. Za tym ruszyli się i inni słudzy z pomarańczami, jabłkami granatu. i różnorodnemi słodyczami, inni znowu z talerzami, półmiskami, a wszystko to przyrządzali i podawali w pełnym biegu, nie zatrzymując ani na chwilę pochodu całego orszaku. W godzinie objadowej sługa dał nam znać, że Szach polecił intendantowi przysłać nam objad z kuchni królewskiej. Wkrótce też pojawił się przed nami ów objad na wielu srebnych półmiskach pokrytych haftowanemi złotem tkaninami z przedniej materji kaszmirskiej, wedle tutejszego obyczaju, podany w całości i odrazu. Pillaw i Tchillaw, dwie perskie potrawy narodowe znajdowały się tu w największej obfitości. Pillaw jest to ryż duszony, z dodatkiem mięsa, daktylów, migdałów itd. Tschillaw ryż sam, jako przyprawa do rozmaitych potraw po największej części mocno korzennych, lub też do słodkich kompotów. Była tam oprócz tego wyborna po persku przyrządzona pieczeń, Kebab, zwana; z napojów zaś limonady i sorbet z granatów, a nareszcie biały ser owczy i wyborny chleb, z powodu domieszki szafranu złoto-żółtej barwy.

— Niedaleko Plymouth, w Kornwalji, około połowy przeszłego stulecia żył pewien szlachcic nazwiskiem Tilly, właściciel zamku i wielkich dóbr Pentilly. Był to dzielny kawaler, obdarzony świetnym dowcipem i przenikliwym umysłem, ale jak wielu jego dostojnych współcześników wielki lekkoduch, niedowiarek i libertyn. Z głęboko religijnym pastorem dóbr swoich żył jako człek wolnomyślny, w ciągłej i zaciętej walce, tak że ten wreszcie oświadczył, iż w razie śmierci pana Tilly odmówi mu chrześcijańskiego pogrzebu. Wkrótce potem Tilly zachorował śmiertelnie. Czując się bliskim zgonu zawezwał bliskich sobie dla podyktowania ostatniej woli swojej. Pomnąc dobrze na groźbę duchownego, zalecił przedewszystkiem w testamencie swoim, aby go nie chowano na cmentarzu, ale zgoła innym sposobem. Rozkazał starannie zabalsamować swoje zwłoki, a następnie wystawiwszy wieżę na szczycie jednego z sąsiednich bardzo wysokich pagórków, z pięknym widokiem na okolicę, w jednej z najwyższych jej komnat, opatrzonej oknami na wszystkie strony, umieścić zwłoki swoje, ubrane w zwyczajny wygodny strój domowy, w postawie siedzącej na wielkim fotelu, obok stołu, zastawionego tytuniem, fajkami i innemi przyrządami do palenia oraz pełnemi butelkami wina i szklanicami. Drzwi tego osobliwego grobowca a także i wieży miały być szczelnie zamurowane, aby nikt pokoju umarłego nie mógł naruszyć. Wedle angielskiego obyczaju, który nakazuje nawet dla najdziwaczniejszych ostatnich rozporządzeń jak najgłębszy szacunek, spadkobiercy znacznych dóbr Tillego zastosowali się ściśle do jego woli i „Wieża Tillego" stała jeszcze w początkach bieżącego wieku na wysokim samotnym pagórku w Kornwalji, napełniając okolicznych wieśniaków i pasterzy przesądną trwogą i zgrozą. Nareszcie po wielu latach uderzenie piorunu, zniszczyło ten osobliwy grobowiec.

Odpowiedzi Redakcji.

Skr...i w Zurychu. Wiersz „Helvetiana" umieszczony nie będzie. Proza Pańska, o ile wnioskować możemy, byłaby nierównie szczęśliwszą. Radzimy więc porzucić poezję, w której brak serca i wyższego nastroju. Niech ci tylko pisują poezję, którzy jej boskie posłannictwo czują głęboko w swojem sercu; silenie się na poezję nie zostanie nigdy pomyślnym uwieńczone skutkiem.

Treść Nr. 15.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).